

Tłomackie 3/5

Czasopismo Żydowskiego

Instytutu Historycznego

im. Emanuela Ringelbluma

Nr 2/2022

TŁOMACKIE
3/5



BEREK JOSELEWICZ
MUZYKA WIELKIEJ SYNAGOGI
RAMIĘ PRZY RAMIENIU?
ALINA MARGOLIS- EDELMAN
CROMWELL I ŻYDZI



TŁOMACKIE
3/5

Nr 2/2022**Wstęp**

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy... / Monika Krawczyk ... 3

Reportaż

Welflojern offkinder – Wilki czyhają na dzieci / Anna Szyba ... 4

Kijów, reportaż / I.J. Singer ... 10

Macewa

Berek Joselewicz i jego waleczni potomkowie / Paweł Fijałkowski ... 14

Korespondencje z przeszłości

Millenaryzm a osadnictwo żydowskie / Anna M. Rosner ... 19

ONZ. Pamiętna debata z 1947 roku, czyli jak doszło do utworzenia Państwa Izrael / Monika Krawczyk ... 26

Świat Żydów

Legendy żydowskie o powstaniu / A. Almi (E.CH. Szeps) ... 30

Muzyka Wielkiej Synagogi / Jakub Stefek ... 35

Debiut

Zaangażowana bez granic. Alina Margolis-Edelman / Ewa Kamińska-Bużałek ... 40

Inwentarz

Portret konny Berka Joselewicza z wileńskiej litografii Ch. Łaskowa / Urszula Dragońska ... 45

Krytyka Bardzo Kulturalna

SS-Sonderkommando Sobibor Niemiecki obóz zagłady 1942–1943. O wystawie stałej

w Muzeum i Miejscu Pamięci w Sobiborze / Bartosz Borys ... 47

Ameryka bez aniołów, czyli czekanie na Jom Kipur / Piotr Oczko ... 50

Dostrzegacz ... 54

Rozrywka

Przepis ... 56

Zapowiedzi wydawnicze ... 58

ידישער **ŻYDOWSKI**
היסטארישער **INSTYTUT**
אינסטיטוט **HISTORYCZNY**

TŁOMACKIE 3/5 Czasopismo Żydowskiego Instytutu Historycznego im. Emanuela Ringelbluma

REDAKCJA Monika Krawczyk (redaktor naczelna), Aleksandra Przeździecka-Kujałowicz (sekretarz redakcji), Jakub Bendkowski, August Grabski, Anna M. Rosner, Karolina Szymaniak, Piotr Weiser

ADRES REDAKCJI ul. Tłomackie 3/5, 00–090 Warszawa / e-mail: tlomackie@jhi.pl

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów oraz dokonywania skrótów, a także odmowy druku.

PROJEKT GRAFICZNY FRYCZ I WICHA

SKŁAD Kuba Maria Mazurkiewicz

REDAKCJA I KOREKTA Marta Wojas

DRUK Drukarnia Akapit sp. z o. o., ul. Węglowa 3, 20–481 Lublin

ZDJĘCIE NA OKŁADCE Fragment miedziorytu autorstwa francuskiego rytownika Bernarda Picarda.

Zbiory ŻIH, MŻIH B-443/58/50

ISSN 2720-6483

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy

WSTĘP

Przed nami kolejny numer czasopisma „Tłomackie 3/5”, w którym poruszamy głównie temat udziału Żydów w polskim wysiłku narodowym. To właśnie w listopadzie 1918 roku nastąpiło wskrzeszenie niepodległej Polski po 123 latach zaborów. Ileż wysiłku – czterech czy nawet pięciu – pokoleń wymagał ten dzień chwały. Patrząc wstecz przez wieki, można zauważyć, że jesień to pora wielu wydarzeń związanych z walką i staraniami o niepodległość.

Dnia 16 listopada 1794 roku miała miejsce ostatnia bitwa Insurekcji Kościuszkowskiej (pod Radziejowicami), w październiku 1795 roku Rosja, Prusy i Austria dokonały III rozbioru Polski i nasze państwo przestało istnieć. W 1830 roku wybuchło powstanie listopadowe, od jesieni 1847 roku w Wielkopolsce realizowano plan prowadzący do Wiosny Ludów, spiskowano w Galicji. W 1861 roku, za sprawą patriotycznych demonstracji, rozpoczęły się przygotowania do powstania styczniowego 1863 roku.

Żydzi zamieszkujący ziemie polskie identyfikowali się z lokalną kulturą i tradycją. Oczywiście, osobom żyjącym w XIX wieku nie można przypisywać powszechnego zainteresowania niepodległością Polski. Jednak to właśnie wtedy społeczność ta dojrzała do poczucia się częścią szerszej wspólnoty i – początkowo poprzez jednostki – zaczęła działać na rzecz sprawy narodowej. Z biegiem czasu odczucie to stawało się powszechniejsze i na początku XX wieku widzimy już całkiem spore grono Żydów – uczestników walk o niepodległość. W Polsce międzywojennej patriotyzm żydowskiej klasy średniej jest już niekwestionowany i powszechny. Modlitwa o pomyślność Rzeczpospolitej, odmawiana po polsku, staje się za sprawą prof. Mojżesza Schorra, rabina Wielkiej Synagogi na Tłomackim, częścią liturgii.

Tej jesieni powyższej tematyce poświęcamy w Żydowskim Instytucie Historycznym szereg działań edukacyjnych, łącznie w wystawę czasową „Ramie przy ramieniu? Żydzi w polskich dążeniach niepodległościowych 1794–1918”. Zbiory ŻIH obejmują wiele unikalnych obiektów, które na niej prezentujemy.

W tym numerze „Tłomackiego 3/5” poruszamy oczywiście i inne tematy, z których spora część dotyczy obserwacji bieżących, licznych ciekawostek historycznych i kulturalnych. Nieodmiennie zapraszamy do odwiedzin w ŻIH, zwłaszcza że w październiku zaczęliśmy świętowanie 75. rocznicy powołania Żydowskiego Instytutu Historycznego, który od 1947 roku służy z zaangażowaniem społeczeństwu, będąc główną instytucją badającą dzieje Żydów polskich i popularyzującą wiedzę o kulturze tej mniejszości.

Monika Krawczyk

75 LAT
יְהוּדִים
הִיסְטוֹרְיָה
אִינוּסְטִיטוּט
ŻYDOWSKI
INSTYTUT
HISTORYCZNY

REPORTAŻ



FOT. NIEZNAJNY, ZBIORY ŻIH

Grupa młodzieży przygotowująca przedstawienie. W środku stoi dyrektor szkoły, Lejb Szyfres. Grodno 1938/1939

Welflojern ojf kinder – Wilki czyhają na dzieci

o wystawie uczniowskiej szkół CISZO, której nie pokazano

ANNA SZYBA

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku Polska stanęła w obliczu wyzwań związanych z koniecznością ujednoczenia wielu płaszczyzn życia społecznego, które rozwijały się różnie w każdym z trzech zaborów. Jednym z trudniejszych zadań była (re)organizacja szkolnictwa. W 1919 roku wprowadzono powszechny obowiązek szkolny dla dzieci w wieku 7–14 lat. Jednocześnie, podpisując w tym samym roku tzw. mały traktat wersalski, Polska zobowiązała się zapewnić mniejszościom narodowym szkoły z wykładowym językiem ojczystym każdej z nich. Mniejszość żydowska, mimo że druga pod względem wielkości, nie doczekała się jednak szkół powszechnych w swoim języku. W ich miejsce dzieciom żydowskim zaproponowano tzw. *szabasówki* – szkoły, w których nauka odbywała się po polsku, a uczniowie mieli wolne w soboty i święta żydowskie. Wielu Żydów uważało je jednak za gniazdo asymilacji, a na pewno za miejsca izolujące dzieci żydowskie od polskich bez dawania im jakichkolwiek atutów, np. nauki dodatkowych przedmiotów żydowskich. W skutek tego w latach dwudziestych około 60% dzieci żydowskich uczęszczało do polskich szkół powszechnych, a w latach trzydziestych liczba ta sięgnęła 80%. Jednocześnie do działania przystąpiły partie żydowskie, które zakładały własne sieci szkolne, wychowujące dzieci zgodnie z poglądami propagowanymi przez daną partię. Pozostałe 20% dzieci żydowskich korzystało z ofert szkolnictwa prywatnego. Do najważniejszych organizacji szkolnych w dwudziestoleciu międzywojennym należały: *Chorew*, związany z partią Aguda i sprawujący pieczę

nad zmodernizowanymi chederami, jesziwami oraz szkołami dla dziewcząt – *Bejs Jakow*; *Jawne*, związane z partią Mizrachi, oferujące naukę w duchu religijno-socjalistycznym; *Tarbut*, należący do ogólnych syjonistów propagujących świecką naukę w języku hebrajskim oraz założona przez Bund, Poalej Syjon Lewicę i jidyszystów Centralna Żydowska Organizacja Szkolna (CISZO). Ta ostatnia, utworzona w 1921, kierowała swoją ofertą do szerokich mas robotniczych, mimo to, jak wszystkie szkoły prywatne, musiała pobierać opłatę za naukę. Przez cały okres istnienia szkoły Centralnej Żydowskiej Organizacji Szkolnej, propagującej nauczanie w jidysz, w duchu demokracji i nowoczesnej pedagogiki, pragnące wychować świeckich obywateli żydowskich dumnych ze swojego dziedzictwa kulturowego do życia w Polsce, walczyły z ogromnymi trudnościami finansowymi oraz z brakiem akceptacji zarówno ze strony niektórych środowisk żydowskich, jak i państwa polskiego.

Lata 30. Trudności i nadzieje

„Wkraczamy w nowy rok szkolny uzbrojeni w chęci i gotowość do walki. Być może odpowiedzialność będzie jeszcze większa niż w roku ubiegłym. Kto wie, czy nie stoimy u progu decydującej bitwy, świadomość ogromu pracy, którą wykonujemy z myślą o jutrze, umocni nas dzisiaj” – pisano na łamach pedagogicznego pisma CISZO „Szulwegn” [Tory Szkolne] w lipcu 1939 roku, podsumowując miniony rok szkolny, szczególnie ciężki dla szkół CISZO. Podkreślanie gotowości do walki i ciągłe dodawanie otuchy rodzicom, dzieciom i nauczycielom związanym ze świeckim ruchem szkolnym były stałymi elementami tekstów ukazujących się na łamach tego czasopisma.

Bo trzeba było pocieszać. Lata trzydzieste to okres trudny dla mniejszości żydowskiej w Polsce. Kryzys



Oktadka czasopisma CISZO, „Szul un leben”, numer 10-11/1924

ekonomiczny i szybko rosnący antysemityzm kładły się cieniem na wszystkie gałęzie życia społecznego, w widoczny sposób dotykając też żydowskie szkolnictwo prywatne. Sytuacja szkół należących do Centralnej Żydowskiej Organizacji Szkolnej była szczególnie trudna. Od początku istnienia nie cieszyły się one sympatią polskich władz, którym przeszkadzało zaangażowanie żydowskich ruchów lewicowych, ograniczone możliwości kontrolowania programu szkół, których językiem wykładowym był język jidysz, i wreszcie zadeklarowana niechęć ich twórców do religii, a w konsekwencji pominięcie tego przedmiotu w planie lekcji.

Działacze CISZO stale walczyli o prawa swoich szkół do istnienia i działania w zgodzie z celami, które stawiała sobie organizacja. Ślali wiele listów, próbując uświadomić inspektorów szkolnych np. o tym, jak ważne jest nauczanie historii czy geografii w języku jidysz. Walczyli też o pieniądze. Szkoły CISZO były bardzo biedne, bo w większości uczęszczały do nich dzieci najuboższej warstwy społeczeństwa. Wielki kryzys doprowadził do zmniejszenia i tak niewystarczających dotacji otrzymywanych z Ameryki. Rodzice, którzy padli jego ofiarą, nie mieli pieniędzy, by uiszczać niewielką opłatę za szkołę, nauczyciele nie otrzymywali pensji, szkoły zalegały z opłatami za komorne, wiele klas, a niekiedy nawet szkół, zamknięto – niektórych już ponownie nie utworzono.

Centralna Żydowska Organizacja Szkolna przędła słabo. Z dwóch wydawanych przez nią w latach dwudziestych pism pedagogicznych – „Di Naje Szul” [Nowa Szkoła] i „Szul Lebn” [Życie Szkolne], kryzysu nie przetrwało żadne, nie odbywały się kursy pedagogiczne, nie organizowano tak ważnych dla wymiany poglądów i rozmowy o problemach zjazdów szkolnych. Nauczycieli i aktywistów zaczęło ogarniać zniechęcenie, wzmożone jeszcze przez hołdującą asymilacji reformę szkolną ministra Jędrzejewicza oraz uderzającą zwłaszcza w ubogie szkoły reformę szkolnictwa prywatnego (1931–1932), która stawiała wymagania dotyczące obowiązkowego standardu lokali szkolnych, uprawnień nauczycieli czy liczby dzieci w klasach. Warunki te, niespełniane nawet w szkołach państwowych, jeszcze trudniejsze były do wypełnienia przez placówki prywatne z tak ograniczonym budżetem. Mimo to w roku 1934 CISZO zaczyna wydawać nowe pismo pedagogiczne, „Szul-wegn”, na łamach którego działacze organizacji przedstawiają problemy szkolnictwa żydowskiego, wzywając jednocześnie do zwarcia szeregów w walce o egzystencję świeckiej szkoły żydowskiej i przywrócenie jej ducha nowoczesności, wolności i żydowskości.

Śledząc kolejne numery pisma, można zobaczyć, że apele te przyjęto na poważnie, zaś spektakularnym (choć niejedynym) efektem były trzy duże wystawy szkolne zorganizowane w latach 1936–1939. Na pierwszej, poświęconej twórczości Mendele Mojcher-Sforima (1936), pokazano jedynie prace dzieci ze szkół warszawskich oraz z jednej białostockiej, noszącej imię tego pisarza. Dzieci rysowały portrety, robiły makiety miejsc

opisywanych w twórczości „dziadka literatury jidysz”, pisały jego biografię czy wypracowania na przeróżne związane z twórczością pisarza tematy, a o znaczeniu tych prac można przeczytać w niejednej opublikowanej w trakcie wystawy recenzji. Już podczas drugiej wystawy, poświęconej życiu i twórczości Szolem Alejchem (1937), przedstawiono prace dzieci ze szkół w całej Polsce, podkreślając zwłaszcza osiągnięcia szkół „z prowincji”. Wystawa ta powstawała w cieniu tragicznych wydarzeń – na ostatniej stronie numeru „Szul-wegn”, który podsumowywał to wydarzenie, redakcja informowała o kolejnym pogromie (znanym pod nazwą „zajść antyżydowskich”), do którego doszła 13 maja 1937 roku: „Gdy zamykaliśmy ten numer, nadeszła hiobowa wieść o zniszczeniu żydowskiego Brzeźcia” – pisano. Sukces wystawy był jednak duży i – jak się zdaje – przywróciła ona nauczycielom wiarę w sens twórczej pracy z dziećmi.

Wystawa „Żydzi w Polsce”. Prolog

Nie dziwi więc, że już pod koniec roku szkolnego 1937/38 CISZO wysłało do szkół projekt nowej wystawy oraz okólnik ze wskazówkami dla nauczycieli. Wystawa *Żydzi w Polsce* miała być przygotowana z rozmachem – zalecano, by już od początku roku szkolnego cała praca przebiegała pod znakiem przygotowań do niej. Zachęcano, by prócz opracowań ogólnych, opisujących szersze zagadnienia i tendencje, namawiać uczniów również do badania i dokumentowania historii lokalnej, która była im bliższa i mniej abstrakcyjna. Dzięki zachowaniu równowagi między tym, co ogólne, a tym, co szczegółowe, obraz historii Żydów w Polsce miał być pełniejszy i ciekawszy. Przewodniczący CISZO, Chaim Szlomo Kaźdan, przypominał też, jak zorganizować pracę w duchu nowej pedagogiki: „Pierwsze, co nasze nauczycielstwo musi sobie uświadomić i zrozumieć to to, że wszystko, co dzieci przygotowują na wystawę, musi być bezpośrednio, dobrowolne, samodzielne. Wszystko ma być owocem wspólnej decyzji nauczycieli i dzieci. Trzeba w tym czuć ich ducha, ich inicjatywę”. W instrukcjach i artykułach podkreślano również, że temat wystawy jest dla dzieci szczególnie aktualny, a przygotowania do niej mają pomóc w poszukiwaniach odpowiedzi na pytanie: „Kim jesteśmy dziś w Polsce, czy rzeczywiście jesteśmy mniej wartościowymi członkami społeczeństwa, których należy traktować jak trzeciorzędnych?”. Jednocześnie wzywano nauczycieli, by wszystkie prace były w pełni obiektywnie, by nie bać się pokazywać tego, co w życiu żydowskim negatywne. Każda szkoła miała postarać się o jak największą liczbę różnorodnych eksponatów, do tematu należało podejść interdyscyplinarnie. Otwarcie wystawy planowano na Pesach 1939 roku, a materiały miały zostać nadesłane do Warszawy dwa tygodnie przed świętem. Ze względu na tematykę wystawy namawiano, by pojawiło się na niej jak najwięcej elementów polskich, zrozumiałych dla widzów polskojęzycznych. „Niniejszym ogłaszamy rozpoczęcie przygotowań do wystawy! Wzywamy naszych nauczycieli do energicznej, pełnej inicjatywy pracy!

Od dziś całe nasze szkolnictwo ogarnięte jest wspólną i mocną chęcią, by jak najpełniej i najlepiej zrealizować plan naszej wystawy!”

Lejb Szyfres

W archiwum ŻIH zachowało się 12 zdjęć pochodzących z archiwum przy Centralnym Komitecie Bundu, na których pojawia się nauczyciel Lejb Szyfres. Zwykle widzimy go w towarzystwie uczniów, raz w gronie pedagogów. Drobny, szczupły, w garniturze zdaje się nad wyraz poważny. Może dlatego, że dość szybko powierzono mu odpowiedzialną funkcję dyrektora szkoły. Charakterystyczne są jego loki, skupiony wzrok, binokle. Tylko jedno zdjęcie jest podpisane ręcznie: „Przygotowania do wystawy Żydzi w Polsce, „Szo” [Szulorganizacje – organizacja szkolna], Grodno, rok szkolny 1938/1939”.

Lejb Szyfres, tak jak wspomniany w numerze zeszłym Noach Cukerman, był absolwentem pierwszego rocznika Jidyszowego Seminarium Nauczycielskiego w Wilnie i zaliczał się do grona najbardziej zaangażowanych nauczycieli szkół CISZO. Urodził się w Grodnie 9 stycznia 1904 roku, po śmierci ojca wychowywała go starsza siostra – również nauczycielka w świeckich szkołach żydowskich. Po ukończeniu seminarium, tak jak jego koledzy i koleżanki, skierowany został do jednej z mniejszych szkół CISZO – do Kobrynia, by po dwóch latach objąć stanowisko kierownika szkoły w Łucku. W roku 1931 Szyfres wrócił do rodzinnego miasta, by kierować lokalną szkołą, która rozkwitła po objęciu przez niego urzędu i – jak podkreślano – dołączyła do grona najlepszych szkół CISZO. Sam Szyfres nie tylko stał na czele szkoły, lecz także angażował się w działalność Bundu. Z ramienia partii został radnym w radzie miasta, kierował grodzieńskim Cukunfem, założył w szkole dziecięcą przybudówkę Bundu – SKIF (Socjalistischer Kinder Farband – Socjalistyczny Związek Dzieci), a od 1935 roku jeździł z młodzieżą na letnie obozy Cukunftu. Pobrał się też z koleżanką z seminarium, Rywką Joffe, a w 1935 roku urodziła się ich córka Nechama.

Zastanawiające, czy miał dość czasu dla rodziny, skoro tak dużo poświęcał go na pracę szkolną i partyjną, której ślady pozostały nie tylko we wspomnieniach pisanych po wojnie przez jego przyjaciół. Oto na przykład krótkie ogłoszenie w dziecięcym piśmie „Grininke Bejmelech” [Zielone drzewka] z 1 marca 1935 roku, w którym czytamy, że szkoły z okolic Grodna, Wilna i Brześcia zaproszone są na zorganizowany przez grodzieńską szkołę zlot starszych klas. Impreza miała odbyć się na zakończenie roku szkolnego, a chętni proszeni byli o zgłoszenie się do Zjednoczenia Szkół Żydowskich w Grodnie. Pod apelem podpisy: L. Szyfres i C. Manski. Zaś 15 marca 1935 roku na tych samych łamach otwiera się cykl „Fun szul cu szul” [Ze szkoły do szkoły], we wstępie do niego redakcja informuje, że pierwsze listy z Grodna i Białegostoku nadesłał dyrektor szkoły w Grodnie, Lejb Szyfres. Informował przy tym, że taka wymiana może urozmaicić lekcje geografii i jednocześnie służyć bliższemu poznaniu dzieci z różnych szkół

CISZO. Obiecywał, że uczniowie jego szkoły odpowiedzą na wszystkie listy, które zostaną do nich nadesłane. List z Białegostoku adresowany jest do „nieznanych kolegów z klasy IV”. Może uczniowie pisali go pod okiem Josła Kaca, kolegi Szyfresa z klasy w seminarium, który wówczas nauczał w Białymstoku? W liście informowali, że ostatnio uczyli się o Grodnie na geografii i może, na koniec roku szkolnego, uda im się pojechać tam na wycieczkę. Dodawali zdjęcia z Białegostoku i prosili o takie z Grodna. W odpowiedzi uczniowie Szyfresa przesłali do Białegostoku dokładny opis położenia swojego miasta, jego zabytków, sławnych osób z nim związanych (wspominają Elizę Orzeszkową i przedwcześnie zmarłego poetę Lejba Najdusa), przemysłu. Z listu dowiadujemy się również, że szkoła żydowska w Grodnie znajdowała się w dwupiętrowej kamienicy i miała przestronne, jasne i czyste sale. Na koniec uczniowie z Grodna załączają zdjęcia swojego miasta i proszą o rychłą odpowiedź.

Wystawa

Na wspomnianym wyżej zdjęciu przedstawiającym przygotowania do wystawy „Żydzi w Polsce” Lejb Szyfres przechadza się po klasie, w której dzieci pracują na różne sposoby – widzimy piłujących chłopców, dziewczynę, która coś rysuje, grupkę piszących dziewcząt, z boku stoi jakaś makieta. W klasie obecni są też chyba inni nauczyciele, którzy – jak się wydaje – współpracują, a nie nadzorują. Przygotowano różnego rodzaju ekspozycję – ilustracje, medale, makiety, rzeźby, wykresy (statystyki), teksty historyczne czy też wypracowania dotyczące wątków polsko-żydowskich w literaturze. W prace starano się zaangażować jak najwięcej uczniów, zachęcając ich, by robili to, w czym czują się najlepiej.

Krótką wzmianką w piśmie „Dos Kind” z lutego 1939 roku pokazuje, że na wystawę czekano. W zapowiedzi czytamy również o oczekiwanych efektach: „W pierwszym rzędzie wystawa ta ma charakter czysto społeczny. Całemu światu trzeba zademonstrować przywiązanie polskich Żydów do kraju, w którym się urodzili, w którym nigdy nie przestali tworzyć na rzecz wszystkich obywateli”. W każdym z czterech działów wystawy – literackim, historyczno-ekonomicznym, kulturalno-społecznym i poświęconym historii Bundu – zamierzano podkreślać związki polsko-żydowskie. „Każdy przyjaciel świeckich szkół żydowskich naprawdę czeka na tę wystawę” – pisano na miesiąc przed otwarciem. W czasie, kiedy niezależnym organizacjom żydowskim na każdym kroku utrudniano egzystencję i ograniczano prawa, szkoły żydowskie postanowiły pokazać wieloletnie związki polsko-żydowskie, wspólną historię z jej cieniami i blaskami, która przyniosła wiele owoców w życiu politycznym, społecznym i kulturalnym. Mogłoby się wydawać, że to całkiem dobry plan na poprawienie relacji polsko-żydowskich.

Zakazana wystawa

Mimo ogromnego zaangażowania uczniów i nauczycieli, zgromadzenia prac z całej Polski, odpowiedniego



**Lejb Szyfres – dyrektor szkoły
w Grodnie wraz z uczennicami.
Przed 1939**

rozmieszczenia ich w pomieszczeniach, w przeddzień planowanego otwarcia wystawy w lokalu przy ul. Nałewki 22a/66, CISZO otrzymało list z komisariatu rządowego w Warszawie zakazujący otwarcia. Uzasadnienia nie podano. Dla pewności przed drzwiami lokalu ustawiono strażników. Przez kolejne cztery tygodnie aktywiści i prawnicy organizacji próbowali wywalczyć zgodę na otwarcie wystawy. Bezskutecznie.

„W chwili, gdy zamykamy ten numer, sytuacja wystawy pozostaje wciąż niewyjaśniona. Wystawa miała zostać otwarta 1 kwietnia. Wszystko było gotowe, wypełniono sześć dużych sal. Dziś jest 20 maja a wystawa pozostaje zamknięta” – pisał na łamach „Szul-wegn” Chaim Szlomo Každan, który niecały rok wcześniej z takim entuzjazmem zachęcał do udziału w projekcie.

Amerykańska historyczka, która w 1938 roku wyjechała do Wilna i była aspirantką w JIWO, Lucy S. Dawidowicz, w swoich wspomnieniach *From that place and time. A memoir 1938–1947*, opowiada, jak przyjeżdżając w połowie czerwca 1939 roku na czterodniowe wakacje do Warszawy, otrzymała pozwolenie na obejrzenie zakazanej wystawy. Opis swoich wrażeń kończy następującą uwagą:

Wreszcie zobaczyłam salę poświęconą udziałowi Żydów w walce o niepodległość Polski od czasów rozbiorów. Na wystawie była makieta tajnej drukarni Piłsudskiego, z jego okresu socjalistycznego, na której wydawano socjalistyczną gazetę w języku jidysz. Nie trzeba było żadnych wyjaśnień prawnych, by zrozumieć, dlaczego polskie władze zamknęły tę wystawę. W tym właśnie czasie rząd i stojące na jego czele partie antysemitki domagały się wypędzenia Żydów z Polski, zarzucając im, że są obcy dla kraju. Wystawa CISZO obrazowo udokumentowała coś zupełnie przeciwnego. Pokazała, jak głęboko Żydzi zakorzenili się w Polsce i jak wielki był ich wkład

w rozwój przemysłu i kultury. Było to przesłanie, którego Polska nie chciała przyjąć.

Epilog

5 listopada 1939 roku Lejb Szyfres został przez władze sowieckie aresztowany za swoją działalność bundowską. Zamknięto go w więzieniu w Grodnie. Sześć miesięcy później aresztowano również jego żonę, która następnie, wraz z dzieckiem, wysłana została do północnego Kazachstanu. Mimo starań nie udało jej się dowiedzieć, co stało się z jej mężem. Czy naprawdę, jak zapisano w Księdze Pamięci Nauczycieli CISZO, przesłuchiwany był przez swoją koleżankę, komunistkę, nauczycielkę szkół CISZO o nazwisku Lewitan? Czy była to uczęszczająca do Seminarium Nauczycielskiego Genia Lewitanówna, której podanie o dopuszczeniu do egzaminów w roku 1926 zachowało się? Z grodzieńskiego więzienia Szyfresa posłano do Brześcia, po czym słuch o nim zaginął. Może białoruskie archiwa skrywają odpowiedź na pytanie, jak, kiedy i gdzie zginął dyrektor grodzieńskiej szkoły CISZO, Lejb Szyfres. Jego żona i córka przeżyły wojnę i zamieszkały w Chicago. Ślady zakazanej wystawy pozostały w prasie, wspomnieniach i kilku dokumentach, które zabłąkały się w różnych archiwach. ■

Anna Szyba (Freie Universitat Berlin) – kulturoznawczyni, edukatorka, nauczycielka i tłumaczka z języka jidysz. Stypendystka m.in. YIVO czy Uniwersytetu Tel-Awińskiego. Współpracowała z ŻIH w projekcie wydania pełnej edycji Archiwum Ringelbluma.

Kijów

reportaż

Wprowadzenie

Izrael Jozua (Jehoszua) Singer przyszedł na świat w Biłgoraju w 1893 roku jako drugie dziecko Batszewy i Pinchasa. Wraz z rodzicami kilkakrotnie zmieniał miejsce zamieszkania. Dzieciństwo spędził w Leoncinie, później przeniósł się do Radzymina, aż wreszcie osiadł w Warszawie. Przyszły pisarz odebrał staranne wykształcenie religijne, a jego formacja była wynikiem zderzenia odmiennych postaw duchowo-intelektualnych – ortodoksji matki i chasydyzmu ojca.

Wbrew oczekiwaniom rodziców uzdolniony chłopak nie został ani wybitnym talmudystą, ani wpływowym rabinem. Już jako nastolatek porzucił studia w jesziwie i zupełnie zerwał z religijnym trybem życia. Zdany na siebie, miał się rozmaitych zajęć. Początkowo próbował sił w rysunku, ostatecznie jednak skoncentrował się na pisaniu. Podobnie jak wielu jego żydowskich rówieśników, i on zafascynował się rosyjską ideą rewolucyjną. W 1918 roku wyjechał do Kijowa i Moskwy, gdzie nawiązał kontakty z tamtejszymi pisarzami awangardowymi. Jednak komunistyczna rzeczywistość rozczarowała go – pod koniec 1921 roku powrócił do Warszawy, gdzie orbitował wokół awangardowej grupy „Chaliastre”. Formalnie był współkierownikiem literackim – wraz ze swoim przyjacielem z Kijowa, Perecem Markiszem – wydawanego przez grupę almanachu, choć sam daleki był od radykalnego literackiego eksperymentu. W pierwszym numerze

pisma ukazało się jednak opowiadanie *W ciemności*, które weszło do wydanego rok później debiutanckiego tomu opowiadań *Perl* [Perły]. Książka do tego stopnia spodobała się redaktorowi nowojorskiego dziennika „Forwerts” Abe’owi Cahanowi, że zaproponował Singerowi współpracę w charakterze korespondenta. Pod koniec 1926 roku gazeta wysłała Singera w podróż do Związku Radzieckiego, by skonfrontował swoje wspomnienia z czasu rewolucji z krajobrazem porewolucyjnym. Efektem jego podróży było kilkadziesiąt reportaży, drukowanych co tydzień w odcinkach na łamach „Forwerts”. W formie zbioru zatytułowanego *Naj Rusland* [Nowa Rosja] ukazały się one w 1928 roku nakładem wileńskiego wydawnictwa B. Kleckina. Wznowiono je w 1939 roku w wydawnictwie Ch. Brzozy.

Jednym z tekstów zamieszczonych w tej reporterskiej książce jest *Kijów*. Opisane w nim wydarzenia rozgrywają się w dwóch planach. Jeden z nich tworzą sceny z przełomu 1918 i 1919 roku, kiedy Singer mieszkał w stolicy Ukraińskiej Republiki Ludowej i był świadkiem krwawej wojny domowej w Rosji, drugi to opis miasta z perspektywy zagranicznego korespondenta, który relacjonuje przemianę, jakiej doświadczyło miasto za komunistycznych rządów.

Eryk Lisiecki – student kierunku Historia i Kultura Żydów WH UW.

ZBIORY ŻIH



Strona tytułowa pisma „Di Jidische Szprach” [Język Żydowski], Kijów, 1928

IZRAEL JOSZUA SINGER

Trudno mi pisać o Kijowie.

Tak wiele wspomnień w tym pięknym, malowniczym mieście przychodzi każda ulica, każdy zaułek, każdy dom! W tym obcym mieście przeżyłem najgorsze, a może i najlepsze ze swych dni.

Tutaj podejmowałem pierwsze próby literackie. Tutaj, nad urwistym brzegiem Dniepru, musiałem przetrwać z rozmaitymi włóczęgami, bradiagami, złodziejami oraz zbiegłymi z klasztorów mnichami dziesiątki nocy w przytułku. Tutaj obserwowałem żydowskie oraz światowe odrodzenie i tutaj zobaczyłem rozlew żydowskiej krwi, całe jej strumienie.

Tutaj ujrzałem siłę i tchórzostwo, bohaterstwo i oportunistów.

W tym miejscu przypatrywałem się życiu, prawdziwemu życiu, które obróciło w perzynę wszystkie teorie i złudzenia o ludziach i narodach. I to tutaj poznałem śmierć, prawdziwą śmierć, której jakby cudem uniknąłem, kiedy kula niemal przeszła mi czaszkę.

Teraz chodzę po tych samych ulicach, placach i chodnikach.

Oto Chreszczatyk przy Dumie. Widok tej alei tkwi w mojej głowie, jakby został w niej wyryty. Tutaj, obiecując ludzkości szczęście i pokój, swoje przemowy

wygłaszali bohaterowie i wyzwoliciela. Tutaj, utrwalając jedność wielkiej carskiej Rosji, stał pomnik Stołypina, wspierany przez kobiety-anioły z brązu. Później na głowę premiera wdrapali się zrewoltowani studenci, nawołując do walki z wojskiem Kiereńskiego.

Tutaj wążaci Ukraińcy upajali się „szczęściem” i „braterstwem” i to tutaj pierwszy bolszewicki Murawjow zaryczał niczym lew: „Z północy na ostrzach bagnów niesiemy wam wolność, a to tylko dlatego, że moją siostrę zgwałcili, a moją narzeczoną zhańbili. Niech oficerowie, burżuje i studenci zapłacą za to głowami”...

Tutaj Niemcy w spiczastych hełmach zerwali „pokój”, pozbawiając kraj chleba; tutaj ludzie hetmana Skoropadskiego rozdzielali „przywileje”; tutaj socjalistyczni przywódcy w cieniu czerwonych flag witali po ukraińsku i żydowsku „socjalistę” i „meszjasza” Petlurę, który przybył zbawić ludzkość; tutaj generałowie Denikina stworzyli tę wyjątkową, „jedną i niepodzielną Rosję”. Tutaj codziennie rozbrzmiewały fanfary, zapowiadając nieskończony pokój i szczęście. I to tutaj po raz pierwszy w swoim dwudziestoczteroletnim życiu zobaczyłem, jak w biały dzień człowiek morduje człowieka, a potem zwyczajnie wkłada papierosa do ust i nieśpiesznie go zapala.

Później widziałem jeszcze tysiące gorszych i bardziej makabrycznych morderstw, jednak ten wstrząsający widok pozostał ze mną do dziś i nie mogę się od niego uwolnić.

Nadal mam przed oczami, jak oficer Petlury zatrzymuje młodego, pięknego, szczupłego mężczyznę i każe mu oddalić się o trzy kroki, a ten wypełnia rozkaz.

„Bacność!” krzyczy żołnierz i mężczyzna znów posłusznie wykonuje komendę.

I już! Widzę jak w kierunku jego głowy leci kula, dostrzegam plamę ciepłej krwi, która parując, zaraz rozlewa się po bruku na kształt czworonogiego zwierzątka. Morderca wypuszcza dym z papierosa.

To miejsce nieopodal Dumy nigdy nie zniknie z mojej pamięci.

Teraz mieszkam w hotelu z oknami wychodzącymi na Chreszczatyk. Kiedyś, podczas rewolucji, złapali mnie tam późnym wieczorem pijani oficerowie Denikina i rozkazali przenieść się na dworzec, w miejsce, z którego schwytaną młodzież żydowską wysyłało na tamten świat. Kiedy uciekałem przed patrolem, kula niemal mnie trafiła, jednak ostatecznie przeleciała obok ucha. Teraz, w oświetlonych, pięknych, przytulnych wnętrzach osobnik o posturze byłego żołdaka, obecnie boy hotelowy, pyta mnie usłużnie, czy czegoś sobie życzę.

W okna zagląda mi spokojny, cichy zadrzewiony skwerek. Jednak osiem lat temu, o tej samej porze, panna była na nim zupełnie inna atmosfera.

Była późna noc. Kilka godzin wcześniej bolszewicy wtargnęli do miasta. Przedstawiciele tego barbarzyńskiego ludu byli bardziej bandytami niż rewolucjonistami. Ulokowali się w hotelu na rogu Chreszczatyka i Funduklijewskiej. Z brudnymi stopami, w łachmanach rozsiedli się w miękkich fotelach, wdarli się do czystych łóżek. Pili i świętowali, a jak tylko się o coś pokłócili, rzucali w siebie granatami.

Hotel zajął się ogniem. Sąsiednie domy też zaczęły płonąć. Zewsząd wyległy półnagie kobiety, mężczyźni i przerażone dzieci. Barbarzyńcy obwieszani amunicją, granatami, szablami i karabinami zasiedli wokół palącego się gmachu i w piekielnym blasku grali na akordeonach. Z pięter leciały lustra i meble, z któregoś okna wypchnięto pianino. Zabrzącały klawisze na bruku. Do gaszenia pożaru zabrakło i wody, i strażaków.

Tymczasem bolszewicy – upici, roześmiani, rozswawoleni – tańczyli wokół ogniska jak dzicy dookoła ofiary.

Gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że po ośmiu latach wytyczy się tutaj ulicę, po której będą chodzić ludzie, to bym mu nie uwierzył. Teraz jest tu zaciszny skwerek, na którym bawią się dzieci, a ja, jako przybysz z zagranicy, patrzę na to z hotelu naprzeciwko.

Trudno mi pisać o tych miejscach. Trudno mi pisać o Kijowie wyłącznie z perspektywy obserwatora. Za wiele mnie bowiem łączy z tymi wszystkimi ulicami i domami!



Z pozorów nie ma nic nadzwyczajnego w Kijowie, w tym skrzywdzonym mieście. Rozwijało się i przyzwyczajając się do statusu stolicy, teraz nie może przywyknąć do nowej dla siebie roli prowincjusza. I dlatego jest tu tak posępnie zimno.

Ulice są oświetlone, a domy utrzymane we właściwym porządku. Wiele z nich wydzierżawiono ich dawnym właścicielom. Wskazano mi pewnego Żyda, którego dom już od prawie dziesięciu lat należy do rządu. Mimo to przychodzi tam każdego dnia, porządkuje podwórko i złości się, że znów coś się popsło. Strzeże swej dawnej własności jak oka w głowie.

Choć sklepy są pełne, restauracje otwarte, a kina nie wyświetlają niczego poza głupimi amerykańskimi filmami z komikami i kowbojami, smutno jest w Kijowie.

Wydaje się, że po tych wszystkich bitwach, wojnach, przemówieniach, paradnych pogrzebach i świątecznych celebrach, które przeszły przez miasto, niewesoło mu z tą odrobiną sklepów, kin, restauracji i niemodnych teatrów.

Kijów zdaje się pytać: Czy było warto?

Podczas mojego pobytu wszystkie żydowskie instytucje były zamknięte z powodu świąt. Szkoda, bo jest co oglądać. Kijów ma i wydział żydowski na uniwersytecie, i instytut naukowy. Posiada wiele szkół, technikum artystyczne oraz dział kultury żydowskiej w Akademii Nauk Ukrainy.

Oddział Kultur-lige, który publikuje mnóstwo społecznych, pedagogicznych i innych tytułów naukowych, widziałem tylko z zewnątrz. Tak samo żydowską szkołę plastyczną prowadzoną przez młodego, utalentowanego malarza Marka Epsteina. Uczy się tam

prawie stu uczniów i uczennic. Szkoła jest utrzymywana przez rząd, uczniowie dostają także małe stypendia od państwa.

Teatr w Kijowie jest staromodny, co oznacza, że aktorzy to profesjonaliści. Grają w klasyczny sposób, tylko oprawa jest nowa, a to po to, żeby wkraść się w łaski komunistycznych przywódców. Tak dzieje się w wielu miastach. Coś podobnego widziałem w Odessie, gdzie wystawiano *Di cwej Kuni-Lemls*, lecz pod zmienionym tytułem *Kłeska rabina*. Wszystko po to, żeby zadowolić przedstawiciela *Jewsekcji*.

Miasto też żyje na starą modłę. Na Podolu Żydzi nadal gromadzą w szulach i w kiojzach. Co prawda mniej niż kiedyś, ale wciąż jeszcze się modlą. Są tu mykwy, magidzi, rabini, szocheci, szamesi i inni.

Na bazarach jest gwaro. Ludzie kupują i sprzedają, gra katarynka, a nie-Żydzi odgrzewają i sprzedają nieświeże *wareniki*. Kieszonkowcy grasują, nieżydowska młodzież snuje się, wcinając pestki słonecznika. Żołnierze śpiewają, żebracy zawodzą, czyniąc znak krzyża, milicjanci pilnują porządku, a uczynne dziewczynki puszczają oko do przechodniów. Pośród tego tłumu stoi chłopak i głośno woła:

- Obywatele, za dziesięć kopiejek wygracie butelkę wina, paczkę herbaty... obywatele... dla *bezprizornego*, zaryzykujcie!

Obecnie dokłada się wszelkich starań, żeby zorganizować pomoc dla *bezprizornych*, dla sierot. Wszędzie zbiera się pieniądze, sprzedaje kartki.

Setki żołnierzy, młodych dziewczyn, przechodniów krążą wokół kwestującego chłopaka i przyglądają się specjałom na stoliczku.

W klubach panuje poetycka i radosna atmosfera.

Żydowscy komuniści spotykają się w założonym przez Brodskina klubie fabrykantów cukru. Jest on czymś więcej niż podobne stowarzyszenia w innych ukraińskich miastach. Mówi się tu niemal wyłącznie w jidysz i czyta się jidyszowe książki. Oto kijowskie państwo żydowskie. Klubowa biblioteka posiada dziesiątki tysięcy tomów, a nie jest przecież jedyną żydowską księżnicą w Kijowie.

Członkowie klubu zorganizowali też teatr. Jeden z towarzyszy, niezrzeszony dramaturg, napisał kilka humorystycznych jednoaktówek wyśmiewających

Nową Politykę Ekonomiczną, czyli walkę o powołanie do życia nowego systemu gospodarczego.

W spektaklu załoga zbiera się na naradę i zamierza zwolnić część pracowników. W tym celu powołują radę, która ma wdrożyć założenia NEP. Sęk w tym, że to nowo powołane ciało oczywiście potrzebuje dyrektora, asystenta, kilku urzędników, a nade wszystko sekretarki, bo bez sekretarki ani rusz!

Bawiłem się na tym kameralnym przedstawieniu znacznie lepiej niż w innych teatrach. Tamtejszy humor jest dobry, autentyczny, gdyż bierze się z tego, że twórcy teatru to prawdziwi robotnicy, a ci zwykle są gotowi wyśmiewać własne błędy. Zachowują lojalność, ale nie wobec polityków i aparatczyków.

W kwestii żydowskiej kultury Kijów w ogóle różni się od pozostałych miast. Mimo wielu prób wykorzenia przez władze miejskie „resztek Bundu”, ostała się jeszcze w Kijowie garstka robotniczych działaczy. Ogromna praca na rzecz języka żydowskiego, kultury i książki żydowskiej, którą wykonywano tam począwszy od wybuchu rewolucji, trwa do dziś.

Nie przypuszczam, że mer będzie mi wdzięczny za ten komplement, ale prawdą jest, że miasto nadal żyje żydowską kulturą i językiem. Moskwa też nie jest z tego zbyt zadowolona.

Choć to nie Kijów, lecz Charków jest obecnie stolicą Republiki, ten pierwszy wie dzie szczegółny, metropolijny żywot. Wprawdzie chowa urazę, lecz pozostaje jedyny w swoim rodzaju. Również Kijów żydowsko-literacki różni się od większości radzieckich miast. Żyje się w nim bowiem tak, jak przed 1918 rokiem, kiedy to sam nazwał się centrum żydowskiej literatury na świecie i uwierzył w swoje posłannictwo.

Tak oto, po kryjomu, w wielkiej tajemnicy, buntuje się Kijów przeciw nowemu żydowskiemu bogu Litwakowowi, władcy kultury żydowskiej w Rosji. ■

Przekład z jidysz **Eryk Lisiecki** (student kierunku Historia i Kultura Żydów WH UW); przekład przejrzała i poprawiła Monika Polit (adiunkt WH UW).

MACEWA



**Berek Joselowicz Szef Szwadronu lekkiej
Jazdy Xięztwa Warszawskiego, Henryk
Aschenbrenner, litografia, 1871-1900**

ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ W WARSZAWIE / POLONA

Berek Joselewicz i jego waleczni potomkowie

PAWEŁ FIJAŁKOWSKI

Insurekcja kościuszkowska była praktycznym sprawdzianem stosunku żydowskich mieszkańców Warszawy do polskiej państwowości, a ich zaangażowanie w działania powstańcze odmieniło relacje z chrześcijańskim otoczeniem. Mieszczanin warszawski Karol Fryderyk Woyda odnotował w swym pamiętniku *O rewolucji polskiej w roku 1794*:

„Żydzi nie tylko w początku rewolucji, ale ciągle szczerze usiłowania Polaków wspierali, co zniosło zupełnie wrodzoną nienawiść; a gdy i w czasie oblężenia czynnymi byli, zamierzili osobny z Żydów pułk lekkiej kawalerii utworzyć”.

Wspomniany pułk powstał z inicjatywy kupca Berka Joselewicza, który pochodził z Kretynki na Litwie, ale osiadł w podwarszawskim Gołędzinowie i specjalizował się w handlu końmi, oraz bliżej nam nieznanego kupca Józefa Aronowicza. Już od kwietnia 1794 roku zabiegali oni o powołanie formacji wojskowej złożonej ze starozakonnych, która w myśl pierwotnych zamysłów miała pełnić funkcje zaopatrzeniowe i wywiadowcze.

Starania Joselewicza i Aronowicza zyskały aprobatę władz powstańczych, aczkolwiek ich efektem było powstanie jednostki bojowej. 17 września 1794 roku naczelnik Tadeusz Kościuszko wydał odezwę informującą o utworzeniu Pułku Lekkokonnego Starozakonnego, a niedługo później projekt zyskał poparcie komendanta Warszawy generała Józefa Orłowskiego. 1 października 1794 roku Berek Joselewicz wystosował odezwę do swych współwyznawców, którą 4 października opublikowano w „Gazecie Rządowej”. Zachęcał w niej, by Żydzi włączyli się do walki o wolność ojczyzny, co dawać miało szansę na poprawę ich sytuacji:

Słuchajcież dzieci plemienia Izraelitów! Kto Wiecznego i Wszechmocnego na sercu swoim wyrył i chce pomóc walczyć za ojczyznę, co my wszyscy ludzie powinni, to teraz przyszedł czas siły nasze na tołożyć. Tak jest, wierni moi bracia! [...]. A czemuż to my, uciemżeni, wziąć się do broni nie mamy, gdyżmy więcej uciemżeni nad wszystkich ludzi na tym świecie? Wybierzcie się więc i wezwijcie Wszechmocnego Boga na pomoc; on będzie naszym obrońcą [...]. Powstańcież! Otwórzcież zamknięte oczy! Czemuż to nie mamy pracować,



Marsz Berek Joselewicz: ku uczczeniu pamięci wielkiego bohatera Pułkownika Berka Joselewicza: fortepian. Okładka. Wilno, ok. 1925

Zszedł on z tego świata śmiercią prawdziwego rycerza, odbywszy przez lat 15 wszystkie kampanie we Włoszech, Niemczech i Polsce. Pierwszy on z Żydów polskich otworzył drogę honoru swoim jednowiercom i dał piękny z siebie przykład waleczności.

zyskać wolności tak pewno i szczerze nam obiecanej, jako i inszym ludziom na świecie? Ale wprzód trzeba na nią zasłużyć [...].

Wieczny w niebie tego chce, już są tego znamiona. Nic nam nie trzeba, jak być zgodnemi i mężne bohatyrskie mieć serce. Bóg Wszechmocny z wami, a ja wam przewodniczę! Gdzie będzie najniebezpieczniej, tam ja pójdę, a wy dopiero za mną [...]. Wierni Bracia! Walczmy za ojczyznę, póki w sobie mieć będziemy kroplę krwi.

Utworzony przez Joselewicza i Aronowicza pułk składał się zarówno z ochotników, jak i wcielonych przymusowo młodych Żydów. Finansowali go głównie założyciele wspomagani przez zamożnych współwyznawców. Ze względu na krótki czas i ograniczone możliwości formowania pułku jest mało prawdopodobne, że jego stan osobowy osiągnął wymienianą w źródłach, późniejszej tradycji i literaturze liczbę 500 żołnierzy.

Poeta i publicysta Franciszek Karpiński odnotował, że podczas rozprężenia, które zapanowało w Warszawie po klęsce wojsk polskich pod Maciejowicami (10 października 1794 roku), „sam tylko regiment żydowski nie odstępował nigdy okopów i pilnie robił powinność swoją”. 4 listopada 1794 roku pułk Berka Joselewicza wziął udział w obronie Pragi przed wojskami rosyjskimi i został rozbity przez najeźdźców. Z życiem uszedł Joselewicz i kilkunastu żołnierzy, którym udało się przedostać na lewy brzeg Wisły. Po zajęciu Pragi wojska rosyjskie dokonały masakry jej mieszkańców, mordując ich lub biorąc do niewoli.

Po upadku powstania kościuszkowskiego Berek Joselewicz przebywał w Galicji, skąd wiosną 1798 roku udał się do Włoch, by podjąć służbę w Legionach Polskich. Napisał do ich twórcy generała Jana Henryka Dąbrowskiego list z prośbą o przyjęcie do służby, na który otrzymał następującą odpowiedź:

Spodziewałem się zawsze, że Ty, co pierwszym byłeś do zachęcenia ziomków swych podczas ostatniej rewolucji, aby się jęli oręża w obronie kraju, nie opuścisz i tej drogi służenia ojczyźnie przez przybycie do legionów. Dziękuję Ci najmocniej za grzeczność, którą mi w swym wyrażasz liście, i proszę, abyś

nie wątpił, że uprzejmym sercem od wszystkich przyjętym będziesz.

Joselewicz nie otrzymał w legionach rangi pułkownika, lecz jedynie stopień rotmistrza (odpowiednik kapitana) i został dowódcą jednego z oddziałów kawalerii, a gdy ta została rozbita podczas walk z wojskami austriackimi i rosyjskimi, kontynuował służbę w nowo utworzonej Legii Naddunajskiej. Z powodu żydowskiego pochodzenia był w niej szykanowany przez innych oficerów, co zostało odnotowane przez generała Karola Kniaziewicza w liście do Józefa Wybickiego z czerwca 1800 roku:

Berek Joselowicz, co w Polsce był pułkownikiem, co dwie kampanie we Włoszech odprawił, tu przybywszy tym dobrowolnie starszeństwa odstąpił, którzy tu żadnej kampanii nie odprawili, dlatego jednak prześladować [go] nie przestają, któremu jednak niczego więcej zarzucić nie można, jak to, że się nieszlachcicem urodził.

Konflikty w legii spowodowały, że w 1802 roku Joselewicz podał się do dymisji i wstąpił do Legionu Hanowerskiego. W początkach 1807 roku zaciągnął się do legionów tworzonych przez generała Henryka Dąbrowskiego w Wielkopolsce i służył w randze kapitana na stanowisku szefa szwadronu w 1 Pułku Lekkiej Jazdy pod dowództwem pułkownika Kazimierza Turno. Uczestniczył w bitwach pod Tczewem, Gdańskiem i Frydlandem. Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego pozostał w pułku dowodzonym przez Kazimierza Turno, przemianowanym na 5 Pułk Strzelców Konnych. Awansował na podpułkownika, a za okazane męstwo 8 marca 1808 roku otrzymał order *Virtuti Militari*. Po wybuchu wojny francusko-austriackiej w 1809 roku uczestniczył w walkach pod Grzybowem i Ostrówkiem, a następnie na czele dwóch szwadronów ruszył na dywizjon huzarów węgierskich stacjonujący w Kocku. Zginął 5 maja 1809 roku podczas walk o to miasteczko. „Gazeta Warszawska” napisała w jego nekrologu:

Waleczny szef szwadronu w regimencie konnym Turna, p[an] Berków, religii mojżeszowej, który

poległ w Kocku w Galicji, powszechnie jest żałowany. Zszedł on z tego świata śmiercią prawdziwego rycerza, odbywszy przez lat 15 wszystkie kampanie we Włoszech, Niemczech i Polsce. Pierwszy on z Żydów polskich otworzył drogę honoru swoim jednowiercom i dał piękny z siebie przykład waleczności.

Wśród służących w armii Księstwa Warszawskiego Żydów był także syn Berka, 20-letni Józef Berkowicz. Józef w 1809 roku u boku ojca uczestniczył w wojnie z Austrią, a następnie w wojnie z Rosją w 1812 roku, podczas której był wielokrotnie ranny, otrzymał kilka odznaczeń i dosłużył się stopnia porucznika. Po zakończeniu wojen napoleońskich został wcielony do wojsk Królestwa Polskiego, ale niebawem złożył dymisję i przez następne lata pracował jako podleśniczy. Po wybuchu powstania listopadowego przyjechał wraz ze starszym synem Leonem do Warszawy i idąc w ślady ojca, podjął starania o powołanie odrębnej, żydowskiej formacji ochotniczej. Skierował do władz petycję w tej sprawie, a 21 grudnia 1830 roku w „Kurierze Polskim” opublikował odezwę, w której zachęcał młodzież do wstępowania do nowej formacji:

Śpieszcie więc bracia na obronę ojczyzny, niechaj odgłos „do broni!”, na który prawe Polski dzieci śpieszą na pomoc wspólnej swej matce, przenika do głębi waszych serc i roznieci w nich iskrę świętego dla ojczyzny zapału. Uczynicie dla niej ofiarę z wszelkich ubocznych uczuć i przesądów, zaciągajcie się pod jej święte sztandary, pokażcie całemu światu, że chociaż długiem nękani nieszczęściem, jeszcze żywicie w sobie godne szlachetnych ludzi uczucia. [...] A gdy Bóg, który czuwa nad Polską, uwieńczy pomyślnym skutkiem szlachetne Polaków usiłowania w odzyskaniu wolności, jeśli zwycięski orzeł biały roztoczy swe opiekuńcze skrzydła nad Polską, wtenczas was czekają uśmiechające się nadzieje, wtenczas szlachetny naród polski, ceniąc wasze poświęcenie się, z braterskim uściskiem Was powita i zrobi uczestnikami wszelkich praw i swobód.

Pod wpływem apelu Józefa Berkowicza oraz wcześniejszej petycji ucznia Szkoły Rabinów Synaja (Stanisława) Hernisza, dyktator powstania generał Józef Chłopicki – zwolennik tworzenia żydowskich oddziałów ochotniczych – polecił sztabowi napisanie „projektu uformowania z samych Izraelitów oddziału jazdy i pułku piechoty”. Jednakże elita warszawskiej społeczności żydowskiej odniosła się z rezerwą do tego zamysłu. 5 stycznia 1831 roku z inicjatywy dozoru bożniczego (zarządu gminy) odbyła się narada, na którą przybyli „znaczniejsi mieszkańcy Izraelici w stolicy” reprezentujący środowiska maskilów i ortodoksów. Uznali oni projekt powołania formacji złożonej z samych Żydów za niestosowny, utwierdzający podziały między wyznawcami judaizmu i chrześcijanami, tymczasem:

Nic tak nie kojarzy jak koleżeństwa, a szczególnie koleżeństwa wojskowe, jeśli więc ochotnicy Izraelici służyć będą wspólnie z innymi mieszkańcami, to sprowadzi to błogą chwilę zbliżenia mieszkańców i wzmożenia węzłów jedności.

Pomimo negatywnej opinii dozoru bożniczego Józefowi Berkowiczowi udało się zdobyć część funduszy potrzebnych na utworzenie „pułku starozakonnych” oraz rozpocząć werbowanie młodzieży do tej formacji. Niestety, do końca stycznia 1831 roku do służby w niej zgłosiło się nie więcej niż sto osób. Co gorsze, Berkowicz nie był dobrym organizatorem, nie potrafił we właściwy sposób wykorzystać otrzymywanych od różnych darczyńców kwot. Pojawiły się pogłoski, że znaczną ich część sprzeniewierzył, a niedługo później tworzona przez niego formacja rozpadła się.

W tej sytuacji Józef Berkowicz zaciągnął się – wraz 17-letnim synem Leonem – do tworzonej w Warszawie Legii Litewskiej i uczestniczył w wyprawie generała Samuela Józefa Różyckiego na Litwę. Następnie obaj służyli pod dowództwem generała Różyckiego w Jeździe Kaliskiej i walczyli w Małopolsce. Ojciec awansował na majora, syn otrzymał stopień podporucznika. Po upadku powstania, w listopadzie 1832 roku, Józef Berkowicz udał się wraz z synami Leonem i Józefem na emigrację do Francji, a następnie do Anglii. Zmarł tam na udar mózgu w 1846 roku, a jego synowie wyemigrowali do Ameryki. Przedtem jednak wydali powieść napisaną przez ojca w ostatnich latach życia, zatytułowaną *Stanislaus or the Polish lancer in the suite of Napoleon, from the island of Elba* [Stanisław, ułan polski w świcie Napoleona na wyspie Elbie], zawierającą wątki autobiograficzne. W przedmowie do niej można przeczytać:

„Jestem teraz tym, kim jestem, polskim wygnańcem, wciąż kochającym mój kraj, ale bardziej niż kiedykolwiek oddalonym od nadziei bycia świadkiem, nawet umierającymi oczami, jego szczęśliwego odrodzenia”. ■

Paweł Fijałkowski – doktor nauk humanistycznych; archeolog, historyk i publicysta. Zajmuje się dziejami Żydów w okresie staropolskim, historią polskiego protestantyzmu oraz homoerotyzmem w kulturze europejskiej. Jest autorem kilku książek oraz kilkuset artykułów na powyższe tematy.

Millenaryzm a osadnictwo żydowskie

ANNA M. ROSNER

Historię osadnictwa żydowskiego na Wyspach Brytyjskich podzielić można na dwa okresy. Pierwszy z nich rozpoczął się w 1066 roku, gdy normandzki władca Wilhelm Zdobywca pokonał pod Hastings wojska anglosaskie dowodzone przez Haralda II. Co prawda istnieją źródła mówiące o tym, że już wcześniej żydowscy kupcy pojawiali się na Wyspach, wiadomo jednak, że nie tworzyli wówczas stałego osadnictwa. Pojawiło się ono dopiero pod nową władzą, a w XII wieku w największych miastach Anglii funkcjonowały już pierwsze kahały. Poza nimi w krajobraz średniowiecznego królestwa silnie wpisał się obraz niewielkiego, zazwyczaj poruszającego się samotnie wozu zaprzężonego w wołu, rzadziej konia. Był to jednocześnie kram i warsztat rzemieślniczy, czasem także balwierski. W ten sposób między miastami, także małymi, przemieszczali się obwoźni handlarze z rodzinami, w przeważającym stopniu żydowscy. Podróżowali tak, by przybywać do kolejnych osad w dniach targowych, w szabas znaleźć się za bezpiecznymi murami, a święta spędzić tam, gdzie mogli spotkać współwyznawców.

W 1275 roku Edward I Długonogi wydał edykt znany jako Statute of the Jewry, który zakazywał m.in.: czerpania zysków z lichwy; utrzymywania się ze źródeł innych niż handel, żołąd lub rzemiosło; zawierania związków z nie-Żydami; kupna ziemi, o ile kupujący nie planował samodzielnie jej uprawiać.

Początkowo średniowiecze było czasem spokoju i sprzyjało rozwijaniu się gmin, a Ryszard I Lewie Serce wprowadził szereg praw chroniących Żydów. Jednak, wraz z powrotem rycerzy z wypraw krzyżowych, na Wyspy zaczęły napływać kontynentalne myśli, w tym bazujące na stereotypach pogłoski o domniemanych żydowskich niegodziwościach. Obok oskarżeń związanych z oszustwami finansowymi i bezczeszczeniem hostii, Żydów obwiniano m.in. o tzw. mordy rytualne. Największe prześladowania związane z takimi oskarżeniami nadeszły w drugiej połowie XII i na początku XIII wieku i wiązały się z postaciami „dzieciących męczenników”, takich jak William z Norwich (zm. 1144), Harold z Gloucester (zm. 1168), Robert z Bury (zm. 1181) i oczywiście Hugh z Lincoln (zm. 1255). O śmierć tych dzieci oskarżano lokalne społeczności żydowskie, a wieści o procesach szybko rozchodziły się po kraju. Działo się tak między innymi za sprawą aktywności Kościoła katolickiego, nie tylko głośno i chętnie mówiącego o podobnych wydarzeniach, lecz także coraz powszechniej przedstawiającego postacie żydowskie w niekorzystny sposób – jednym z najpopularniejszych zabiegów było łączenie wizerunków diabłów z „haczykowatym nosem” oraz żydowskimi łatami, czego dobrym przykładem może być fasada katedry w Lincoln, a także wizerunek „rogatego Mojżesza” w psalterzu z początku XIII wieku.

Jednocześnie wprowadzano coraz więcej ograniczeń prawnych oraz obciążeń podatkowych wymierzonych w żydowskich mieszkańców królestwa. W 1275 roku Edward I Długonogi wydał edykt znany jako *Statute of the Jewry*, który zakazywał m.in.: czerpania

zysków z lichwy; utrzymywania się ze źródeł innych niż handel, żołąd lub rzemiosło; zawierania związków z nie-Żydami; kupna ziemi, o ile kupujący nie planował samodzielnie jej uprawiać. Akt ten zdjął też z dłużników konieczność spłaty wcześniejszych pożyczek, nakazał Żydom nosić wyróżniające ich żółte łaty i wprowadził nowe zobowiązania podatkowe. W oparciu o zachowane dokumenty podatkowe szacuje się, że w krótkim czasie po wejściu w życie Statutu, z Wysp wyjechało około 2000 osób pochodzenia żydowskiego, co stanowiło mniej więcej połowę ówczesnie mieszkającej tam mniejszości. Prawdopodobnie tym, co skłoniło ich do podjęcia decyzji o emigracji, były dodatkowe obciążenia fiskalne lub dotyczące ograniczeń w wolności wykonywania konkretnych zawodów. W roku 1290, wieńcząc szereg praw wymierzonych w ludność żydowską, ten sam władca wydał edykt ekspulsji, dając wszystkim Żydom kilka miesięcy na opuszczenie Anglii. W rezultacie Wyspy opuściła reszta przedstawicieli tej grupy. Nieliczni, którzy odmówili wyjazdu, narażali się na aresztowanie, zabór mienia i karę śmierci, o ile nie zgodzili się wyrzec swej wiary i przejść na katolicyzm. Dla tych, którzy pozostali, otwarto *Domus Conversorum*, ochronkę teoretycznie sprawującą opiekę, praktycznie zaś przede wszystkim kontrolę, nad procesem konwersji i późniejszym życiem podopiecznych. I choć w świetle prawa Żydom nie wolno było ani mieszkać w Anglii, ani do niej przyjeżdżać, przepis ten z czasem zaczął być przestrzegany coraz mniej rygorystycznie.

Za datę rozpoczęcia się drugiego okresu obecności żydowskiej na Wyspach Brytyjskich uważa się powszechnie rok 1655. Krajem rządził wtedy sir Olivier Cromwell, Lord Protektor Anglii, Szkocji i Irlandii. Jednak „nowi chrześcijanie”, jak określano konwertytów wybierających wiarę chrześcijańską, pojawiali się w Londynie i innych ważnych miastach Anglii już wcześniej. Wielu z nich uciekało przed prześladowaniami z Europy kontynentalnej, a niektórzy, zwłaszcza Żydzi pochodzący z Hiszpanii, przybywali do Londynu przez kolonie w Nowym Świecie. Prawo z 1290 roku nie zostało zniesione, a nowo przybywający publicznie funkcjonowali jako konwertyci, nawet jeśli w zaciszu domowym kultywowali tradycje przodków. Przedstawiciele władz cywilnych i kościelnych, mający pełną świadomość żydowskiej obecności, nie podejmowali działań mających na celu zahamowanie osadnictwa czy prześladowanie imigrantów, nie organizowano też już kontroli mających „zdemaskować innowierców”, co zdarzało się często w okresie średniowiecznym. Żydzi – tacy jak np. pochodzący z Portugalii Antonio Fernandez Carvajal – korzystając z rozwijających się szlaków handlowych, prowadzili dobrze prosperujące interesy, stawali się posiadaczami nieruchomości, a nawet statków handlowych. Liczba tak dobrze sytuowanych żydowskich „nowych chrześcijan” pozostawała niezwykle niska, lecz informacje dotyczące stosunkowo bezpiecznego miejsca, w którym się osiedlili, powoli zachęcały do migracji kolejne rodziny. Z racji kontaktów handlowych, a nie rzadko także prywatnych historii, przedsiębiorcy tacy



**Wizerunek Aarona Harta, brytyjskiego rabina.
Jest uważany za pierwszego naczelnego rabina
Wielkiej Brytanii. Przed 1939**

Żyjąc w zgodzie z boską wolą, mogli oni przystąpić do nawracania innowierców, w tym przede wszystkim Żydów, nie siłą i prześladowaniami, jak czynił to do tej pory Kościół katolicki, lecz miłością, życzliwością i dobrem.

jak Carvajal najczęściej korzystali ze współpracy z handlarzami z Niderlandów. Tam też wieści o osadnictwie angielskim rozchodziły się najszybciej i skupiały sporo uwagi, nie tylko zresztą miejscowych Żydów, lecz także Sefardyjczyków szukających schronienia poza Półwyspem Iberyjskim.

W połowie XVII wieku tym, co zadecydowało o powrocie osadnictwa żydowskiego na Wyspy Brytyjskie oraz o jego dalszym rozwoju, była koncepcja Millenium. Jej idee pojawiły się w Anglii już pod koniec panowania Elżbiety I, nie zyskały jednak wówczas wielu zwolenników. Ta chrześcijańsko eschatologiczna teoria opierała się o przekonanie, że drugie przyjście Chrystusa odbędzie się 6000 lat po stworzeniu ludzkości, a poprzedzi je tysiąclecie pokoju, harmonii i zbawienia. Charakter mającego nadejść milenium wiązano z interpretacjami Biblii, w szczególności zaś Księgi Apokalipsy i jej rozdziału 20, a konkretnie z wersami od 1 do 7. Tekst ten przepowiada zstąpienie z niebios anioła, który zamknie w czeluściach piekielnych szatana, tym samym uwalniając ludzi od pokus i grzechów.

Potem ujrzałem anioła, zstępującego z nieba, który miał klucz od Czeluści i wielki łańcuch w ręce. I pochwyił Smoka, Węża starodawnego, którym jest diabeł i szatan, i związał go na tysiąc lat. I wtrącił go do Czeluści, i zamknął, i pieczęć nad nim położył, by już nie zwodził narodów, aż tysiąc lat się dopełni. A potem ma być na krótki czas uwolniony. I ujrzałem trony – a na nich zasiedli [sędziowie], i dano im władzę sądenia – i ujrzałem dusze ściętych dla świadectwa Jezusa i dla Słowa Bożego, i tych, którzy pokłonu nie oddali Bestii ani jej obrazowi i nie wzięli sobie znamienia na czoło ani na rękę. Ożyli oni i tysiąc lat królowali z Chrystusem. A nie ożyli inni ze zmarłych, aż tysiąc lat się skończyło. To jest pierwsze zmartwychwstanie. Błogosławiony i święty, kto ma udział w pierwszym zmartwychwstaniu: nad tymi nie ma władzy śmierć druga, lecz będą kapłanami Boga i Chrystusa i będą z Nim królować tysiąc lat. A gdy się skończy tysiąc lat, z więzienia swego szatan zostanie zwolniony.

Na początku XVII wieku milenaryzm zyskał na popularności, szczególnie w kręgach radykalnych purytan, którzy wierzyli, że protestancka Anglia miała do odegrania kluczową rolę w doprowadzaniu do początku „tysiąclecia szczęśliwości”. Uważali, że chrystianizacja Żydów poprzedziłaby, lub przynajmniej byłaby ściśle związana, z drugim przyjściem Chrystusa. Jednocześnie pozostawali w przekonaniu, iż Bóg właśnie ich wybrał na ludzi, którzy mieli wypełnić tę misję. Wedle wyznawców milenaryzmu wybór Anglii nie był przypadkowy i wiązał się z reformacją, a konkretnie z tym, że zepsuty (ich zdaniem) Kościół rzymskokatolicki tak dalece odszedł od pierwotnej wiary chrześcijańskiej, że tylko niezależność od Watykanu i papieża pozwalała na praktykowanie religii w jej oryginalnej, a zatem jedynie właściwej, formie. Żyjąc w zgodzie z boską wolą, mogli oni przystąpić do nawracania innowierców, w tym przede wszystkim Żydów, nie siłą i prześladowaniami, jak czynił to do tej pory Kościół katolicki, lecz miłością, życzliwością i dobrem. By móc zrealizować swój plan, milenaryści musieli zacząć od podstawowej kwestii – ponownego sprowadzenia Żydów na Wyspy Brytyjskie. Zakładano przy tym, że konwertyci nie spełniali wymogów i nawracanie ich było pozbawione sensu, jako że sami odeszli od swojej wiary i nie potrzebowali niczyjej pomocy.

Wydaje się, że przełomowym momentem dla angielskich milenarystów był okres wojny domowej (1642–1651). W jej czasie doszło bowiem do załamania się machiny cenzorskiej, osłabła także rola sądów kościelnych i ich wpływ na edukację. Idee, wcześniej zarezerwowane dla wąskich grup odbiorców, mogły się łatwiej rozprzestrzeniać, a w kraju targanym wewnętrznym konfliktem o zbrojnym charakterze padały na podatny grunt. Najwięcej sprzymierzeńców milenaryzm zyskiwał u „okrągłogłowych”, czyli purytańskich zwolenników parlamentu okresu wojny domowej. Najbardziej oddanymi koncepcji tysiąclecia byli członkowie grupy, czasem określanej mianem sekty, zwanej *the Fifth Monarchists* i aktywnej w latach 1649–1660. Ich nazwa nawiązywała bezpośrednio do Księgi Daniela, w której mowa o czterech królestwach – Babilońskim, Perskim,

Macedońskim i Rzymskim – które miałyby zbliżyć ludzkość do zbawienia. Celem członków grupy stało się zorganizowanie piątego, definitywnie prowadzącego do wymarzonego tysiąclecia. Warto dodać, że była to jedna z wielu aktywnych w tym okresie grup o podobnym charakterze. Apogeum ich działalności przypadało na lata poprzedzające rok 1666, wiązany często z „liczbą bestii” i przez to uważany za moment, do którego powinno się zakończyć wszelkie przygotowania do przyjęcia Chrystusa.

Dziś uznaje się, że pierwsza próba zniesienia aktu ekspulsji związana była z postacią Thomasa Fairfaxa, trzeciego Lorda Cameron, naczelnego dowódcy armii północnej z okresu angielskiej wojny domowej (po stronie parlamentu). W 1649 roku optował on za zniesieniem prawa z 1290 roku. Stało się to pod wpływem listu otrzymanego od Johanna i Ebeneza Cartwrightów, którzy to zbiegli do Amsterdamu w czasie prześladowań wymierzonych w marian. Zwrócili w nim uwagę Thomasa na to, że przyspieszenie nadejścia tysiąclecia położyłoby kres bratobójczym walkom, co nie było możliwe bez obecności i nawracania Żydów.

Najważniejszą, zaraz obok samego Oliviera Cromwella (o którym za chwilę), postacią związaną z ponownym zezwoleniem na osadnictwo żydowskie na Wyspach był Menassech ben Israel, sefardyjski rabin i myśliciel, syn „nowych chrześcijanin” z Portugalii, wychowany i wyedukowany w Amsterdamie. Był człowiekiem płynnie posługującym się kilkoma językami, zainteresowanym nie tylko studiowaniem Tory, lecz także analizowaniem pism innych religii. Fascynowały go polityka międzynarodowa, filozofia oraz nowe nurty i idee próbujące zmieniać zastały porządek świata. O zmianach zachodzących wśród angielskich elit związanych z parlamentem dowiedział się najpewniej od uchodźców, którzy przybywali do Amsterdamu, szukając schronienia przed prześladowaniami na rodzimej wyspie. Milenaryzm przypadł mu do gustu prawdopodobnie głównie dlatego, że sam był mesjanistą. W jego oczach oba nurty łączyły się ze sobą i sprowadzenie Żydów do Anglii mogło nie tyle stać się początkiem tysiąclecia, które Menassechowi nie było specjalnie bliskie,

co ważnym krokiem w stronę nadejścia mesjasza, na którym znacznie bardziej mu zależało.

Mesjanizm Menassecha niezwykle wzmocnił się po tym, jak mężczyzna spotkał Antonio de Montezinos, także portugalskiego „nowego chrześcijanina”. De Montezinos powiedział Menassechowi o swej wyprawie na tereny dzisiejszej Kolumbii, gdzie spotkać miał miejscową ludność, jak przekonywał – złożoną z potomków jednego z plemion Izraela – plemienia Reuben. Dla Menassecha informacja ta była niezwykle ważna, dowodziła bowiem, że udało się odnaleźć Żydów także w niezbadanym jeszcze Nowym Świecie. Znaczyć to miało jego zdaniem, że zaczyna wypełniać się przepowiednia, o której mowa w rozdziale 28 księgi Powtórzonego Prawa.

Opowieść o odnalezieniu zaginionego plemienia zwróciła uwagę millenarystów. Część z nich uważała bowiem, że nie tylko nawracanie „nowych chrześcijan” miało się z celem, ale nawet, że namówienie do konwersji Żydów europejskich nie było wystarczające. Wierzyli, niezrażeni skalą przedsięwzięcia, iż należało zrobić to ze wszystkimi potomkami wszystkich plemion starożytnego Izraela.

Menassech był postacią wystarczająco prominentną, by znali go niderlandzcy zwolennicy millenaryzmu. Wraz z angielskimi towarzyszami zwrócili się do niego o opinię dotyczącą tej sprawy. W odpowiedzi Menassech napisał *Mikwe Israel* – tekst, w którym rozważał teorie mówiące o pochodzeniu rdzennych mieszkańców Ameryki i odnosił je do tekstu Tory. Dla millenarystów było to przełomowe wydarzenie, popierało bowiem ich tezy, jednocześnie wskazując na pewne punkty zbieżne chrześcijaństwa i judaizmu.

Książka została przetłumaczona na język angielski i w 1650 roku wydana pod tytułem *The Hope of Israel*, publikacja odbiła się szerokim echem w kręgach millenarystycznych. Menassech postawił sobie za cel wykorzystać ten fakt i postarać się doprowadzić do zmian legislacyjnych w Anglii, przy czym mniej interesowały go aspekty religijne tego posunięcia, a bardziej – jak się wydaje – ekonomiczne. Otwierałyby to bowiem nowe szlaki handlowe i pomogły



Olivier Cromwell, rycina pochodząca z *Olivier Cromwell : sa vie privée, ses discours publics, sa correspondance particulière: précédés d'un examen historique des biographes et historiens d'Olivier Cromwell*, Philarète Chasles, Paryż, 1847

niderlandzkim Żydom w rozwoju interesów. Ci, wdzięczni Menassechowi, poszerzyliby zaś zasięg nauczania w duchu mesjanistycznym.

Trawiące Europę wojny i tumulty wewnętrzne zmusiły go jednak do weryfikacji planów i odsunięcia ich w czasie. Paradoksalnie jednak pogarszająca się sytuacja polityczna Żydów kontynentalnych skłaniała go do intensyfikacji działań (Niderlandy przeżywały znaczący napływ żydowskich uchodźców z Hiszpanii, a także z kolonii, m.in. z Brazylii). Menassech czekał więc, sumiennie przygotowując się do nadchodzącej rozgrywki.

Wznowił swe starania dopiero w 1654 roku, wraz z końcem wojny angielsko-holenderskiej. Na pierwszą wyprawę do Londynu wysłał swego syna, Samuela Soeira, wraz z Manuelem Martinezem Dormidem, kupcem z Amsterdamu, który w wyniku wyparcia przez Portugalię Niderlandów z Brazylii i konieczności ucieczki z Atlantyku stracił swój majątek. Mężczyznom udało się spotkać z Oliverem Cromwellem i przedstawić mu dwie petycje. Pierwsza miała charakter prywatny i dotyczyła Dormida, który prosił, by angielski rząd, aktualnie sprzymierzony z Portugalią, pomógł mu odzyskać utracone dobra (jak można domniemywać, miało to stworzyć także *casus* dla podobnych dalszych skarg). Druga dotyczyła już bezpośrednio powrotu Żydów na Wyspy Brytyjskie. Jednak bardziej interesujące niż to, że w ogóle ją omawiano, wydaje się forma, w jakiej ją napisano. Nie była to bowiem prośba o możliwość osiedlenia się z gwarantem wolności wyznania czy ochrony prawnej. Menassech za pośrednictwem Samuela prosił, by Żydzi mogli osiedlać się, ciesząc się równymi prawami i przywilejami, co Anglicy. Rada Stanu odmówiła

obu prośbom. Cromwell jednak, ignorując jej decyzję, osobiście zwrócił się do Korony portugalskiej o wypłatę odszkodowania dla Dormida. Nie wiadomo dziś, co myślał o drugiej petycji, nie ustosunkował się do niej ani przychylnie, ani dość negatywnie, by Menassech porzucił swoje plany. Cromwell, choć religijny, nie należał już wówczas do gorliwych zwolenników millenaryzmu, teoria jednak była mu bardzo dobrze znana i prawdopodobnie cały czas uważał ją za interesującą, jeśli nie ze względów religijnych, to przynajmniej pod względem przyszłego ekonomicznego rozwoju państwa.

Jednym z pragmatycznych powodów jego poparcia dla umożliwienia żydowskiego osadnictwa w Anglii była ścisła współpraca z kilkoma żydowskimi kupcami rezydującymi na co dzień w Amsterdamie. Byli oni nie tylko odpowiedzialni za zaopatrywanie Cromwellovskiego dworu i armii w potrzebne i niedostępne nigdzie indziej towary, dostarczali także informacji wywiadowczych, co w czasach sporów z Niderlandami, podówczas największym ekonomicznym rywalem Anglii, było cenniejsze niż cokolwiek innego. Wspomniany wcześniej Carvajal należał do największych dostawców dóbr militarnych i choć brak dokumentów jednoznacznie to potwierdzających, zajmujący się tą kwestią historycy podejrzewają, że był jednym z najważniejszych angielskich szpiegów tamtego okresu.

Menassech ben Israel musiał znać stanowisko Lorda Protektora (prawdopodobnie znał je z przekazów Samuela) i postanowił udać się do Londynu osobiście. Nie marnował jednak czasu poprzedzającego wyprawę. Wykorzystał go do napisania broszury stanowiącej komentarz do interpretacji przepowiedni mesjańskich (co ciekawe wydanej po hiszpańsku i z ilustracjami

samego Rembrandta van Rijna) oraz listu do portugalskiej społeczności sefardyjskiej rozsianej po Europie z prośbą o modlitwę za angielską misję. W ostatnim dokumencie wiele pisał o poszukiwaniu spokojnej przystani dla uchodźców. W Londynie pokazał się z kolei z pamfletem zatytułowanym *The Humble Address*, w którym zwracał ponownie uwagę na konieczność zjednoczenia plemion – pominął, zapewne naumyślnie, jakie znaczenie miałyby to mieć dla judaizmu i teorii milenialnej. Skupił się także na obaleniu stereotypów dotyczących Żydów (w tym legendy krwi) i pisał dużo o możliwej roli społeczności w rozwoju gospodarczym. Większość przedstawicieli Rady Stanu, na czele z Olivierem Cromwellem, odebrała głoszone przez niego słowa entuzjastycznie. Zaczęło się, mówiąc dzisiejszym językiem, lobbowanie za ponownym zezwoleniem na osadnictwo.

W grudniu tego samego roku odbyła się Konferencja w Whitehall, na której projekt nie zyskał aprobaty. Opowiadali się za nim rzecz jasna millenaryści, a także część osób przekonanych do zalet ekonomicznych, przeciw byli jednak przedstawiciele kleru oraz profesji obawiających się nadmiernej konkurencji, tacy jak choćby kupcy czy rzemieślnicy. Widząc, do czego zmierzało spotkanie, Cromwell po prostu rozwiązał je, nie dając możliwości wydania opinii wiążącej legislacyjnie.

Wszystko zmieniło się w październiku 1655 roku, wraz z wybuchem wojny angielsko-hiszpańskiej. W prawodawstwie angielskim od dawna istniało pojęcie *enemy of the state* – nadawano je poddanym monarchii lub obywatelom kraju, z którym Anglia znajdowała się akurat w konflikcie zbrojnym. Uważano, że osoby takie nie są pożądane i powinny opuścić Wyspy, co miało zapobiegać potencjalnemu szpiegostwu i działaniu na niekorzyść państwa. Los taki spotkał poddanych hiszpańskiego władcy, włącznie z „nowymi chrześcijanami”, którzy – choć od lat mieszkali nad Tamizą – w świetle prawa pozostawali Hiszpanami. W marcu 1656 roku kupiec Antonio Rodrigues Robles, na mocy tego właśnie prawa, miał zostać pozbawiony majątku (w tym dwóch statków poruszających się po Tamizie, co podówczas stanowiło fortunę) i wydalony z Anglii. Nie widząc innej drogi ratunku, z poparciem podobnych mu „nowych chrześcijan”, oficjalnie wyrzekł się wiary chrześcijańskiej i przyznał, że nie jest konwertytą, lecz praktykującym Żydem szukającym schronienia przed prześladowaniami w ojczyźnie. Taki obrót spraw był dla angielskich władz co najmniej kłopotliwy, Robles bowiem powołał się na wywodzące się jeszcze ze średniowiecza prawo zwyczajowe mówiące, że Anglia przyjmie do siebie każdego, komu w kraju pochodzenia grożą prześladowania związane nie z jego wyborami, lecz statusem urodzenia. Rada Stanu obradowała nad sprawą Roblesa i choć nie wydała jednoznacznej zgody na jego pozostanie w Londynie, nie został on wydalony. Olivier Cromwell osobiście zagwarantował mu też zwrot majątku i ochronę przed kolejnymi próbami wyrzucenia. Po tym wydarzeniu kolejni „nowi chrześcijanie” zaczęli wyrzekać się swojej oficjalnej wiary i przyznawać do

praktykowania judaizmu. Nie jest jasne, ile dokładnie osób ujawniło w ten sposób swoje pochodzenie, wiadomo tylko, że w stosunku do populacji kraju była to liczba niska, a jednocześnie dość wysoka, by powstać mogła gmina z minjanem.

Menassech ben Israel nie mógł przepuścić takiej okazji. Latem 1656 roku poprosił swego mieszkającego w Amsterdamie szwagra, by ten przesłał do Londynu zwój Tory. Jesienią zaś do angielskiej stolicy przyjechał, a raczej został wysłany, kuzyn samego Carvajala, Moses Athias, kantor i nauczyciel szkoły religijnej. Wraz z Menassechem zaczęli organizować kahał, pierwszy oficjalnie działający od 1290 roku. Już w grudniu niewielka, lecz prężna społeczność wynajęła dom przy Creechurch Lane i przeznaczyła go pod zorganizowanie synagogi, a w lutym 1657 roku dostała oficjalną zgodę na założenie cmentarza żydowskiego w Mile End na dzisiejszym East Endzie. Choć nie zachowały się żadne dokumenty potwierdzające udział Oliviera Cromwella w tych wydarzeniach, wydaje się niemożliwe, by tak szybkie postępy były możliwe bez jego wyraźnego wsparcia lub nawet osobistego udziału.

Działania Menassecha i poparcie, które dawali mu millenaryści, skutkowały rozpoczęciem drugiego okresu obecności Żydów nad Tamizą. Choć prawo z 1290 roku nie zostało zniesione, w obliczu ważniejszych problemów, takich jak wojny, sytuacja ekonomiczna, a później także restauracja monarchii, kwestia obecności Żydów została zepchnięta na dalszy plan i nie skupiała na sobie wiele uwagi. Społeczność rozwijała się wolno, nie doszło do masowych migracji, a żydowscy kupcy, wbrew obawom Anglików, nie zdominowali żadnej z gałęzi handlu czy gospodarki. Położyli jednak podwaliny pod późniejszy rozwój Wielkiej Brytanii jako kraju wieloreligijnego, kultywującego tradycję tolerancji. Do antyżydowskich tumultów nie doszło aż do sławnej „bitwy na Cable Street” z 1936 roku, w której przebiegu najważniejszą rolę odegrali zwolennicy Brytyjskiej Unii Faszystów. Teoria milenialna upadła, rok 1666 przyniósł nie „tysiąclecie szczęśliwości”, a wielki pożar Londynu, do dziś największą klęskę tego rodzaju na Wyspach Brytyjskich. ■

Anna M. Rosner – historyczka, pracowniczka Działu Naukowego ŻIH, wydała m.in. *Obraz społeczności ocalałych w Centralnej Kartotece Wydziału Ewidencji i Statystyki CKŻP, Żydzi londyńscy w drugiej połowie XIX wieku.*

ONZ

Pamiętna debata z 1947 roku, czyli jak doszło do utworzenia Państwa Izrael

MONIKA KRAWCZYK

75 lata temu, w dniach 27–29 listopada 1947 roku, odbyła się historyczna i brzemenna w skutkach sesja Organizacji Narodów Zjednoczonych. Przyjęto na niej rekomendacje utworzenia dwóch nowych państw: żydowskiego i arabskiego na obszarze Mandatowej Palestyny.

Była to konsekwencja rezygnacji Wielkiej Brytanii z zarządzaniem tym terytorium – na poziomie lokalnym przyczyną była walka wyzwolenicza żydowskich organizacji militarnych, a w szerszym kontekście upadek epoki kolonializmu, symbolicznie zaakcentowany uzyskaniem niepodległości przez Indie i Pakistan zaledwie trzy miesiące wcześniej (15 sierpnia 1947 roku). Z pewnością rząd brytyjski miał w tym czasie większe problemy w regionach, które wykorzystywał gospodarczo, niż na wąskim pasie pustyni i mokradeł nad brzegiem Morza Śródziemnego. Dodatkowo, teren ten nie był istotny z punktu widzenia wojskowego. Duże znaczenie miała konieczność uregulowania sytuacji licznych żydowskich uchodźców w Europie, z których znaczna część pragnęła zamieszkać w Ziemi Izraela. Umożliwienie osiedlenia się w nowym państwie rozwiązałyby również wizerunkowy problem Brytyjczyków, którym było słówne powstrzymywanie wzmagającej się nielegalnej

emigracji, deportacje i tworzenie ogrodzonych drutem kolczastym obozów dla zatrzymanych imigrantów.

Dnia 2 kwietnia 1947 roku rząd brytyjski zawnioskował do Sekretarza Generalnego ONZ o zwołanie specjalnej sesji poświęconej zdaniu sprawy z rządów w Palestynie, powierzonych Brytyjczykom przez Ligę Narodów (po II Wojnie Światowej zastąpiona przez ONZ), i „ustalenia dalszych losów regionu”. W wyniku tej sesji powołano międzynarodową komisję ds. sytuacji w Palestynie – nazwano ją UNSCOP. Jej zadaniem było przedstawienie Zgromadzeniu Ogólnemu rekomendacji w tej sprawie. Na marginesie powiedzmy, że Emirat Transjordanii jako protektorat brytyjski miał odrębny status i nie dotyczyły go prace tej komisji.

Do 29 sierpnia 1947 roku UNSCOP odbyła 49 posiedzeń, podczas których miał miejsce szereg wysłuchań zainteresowanych stron, dokonano też inspekcji w różnych miastach na dotychczasowym terytorium mandatowym i przeprowadzono konsultacje polityczne. Delegaci złożyli także niespodziewaną wizytę w porcie w Hajfie, gdzie wojsko angielskie zajmowało się akurat deportowaniem 4500 nielegalnych żydowskich emigrantów, którzy parę godzin wcześniej przybyli z Europy na słynnym statku Exodus. Przeżyli Holokaust, przedarli się przez zaśnieżone góry do portów na południu kontynentu (zwłaszcza przez Włochy), spędzili kilka dni na morzu w niebezpiecznych warunkach, dotarli do wymarzonej Ziemi Izraela, gdzie mogli się poczuć jak

w domu... żeby zostać wywiezionymi na Cypr do kolejnego obozu dla uchodźców. Dramatyczne sceny głęboko poruszyły wizytujących członków UNSCOPE. Przedstawiciel Szwecji Emil Sandstrom napisał w raporcie dla swojego rządu „bez tego dowodu, nasze śledztwo nie byłoby kompletne”.

Przez dekady dokumenty robocze UNSCOP były oznaczone jako „ściśle tajne” i rozsiane po różnych archiwach. Około 10 lat temu niektóre ujawniono. Wynika z nich, że przedstawiciele palestyńskich Arabów uważali, że sprawa powstania państwa żydowskiego w Palestynie została na wczesnym etapie wykluczona w rozmowach za zamkniętymi drzwiami i postanowili zasadniczo bojkotować prace Komisji. Decyzję o ignorowaniu UNSCOP podjęto tym łatwiej, że wielkie mocarstwa nie delegowały swoich przedstawicieli, uważając, podobnie jak Wielka Brytania, że należy zachować daleko idącą bezstronność.

Arabscy działacze zostali uprzedzeni przez własnych liderów, żeby z własnej inicjatywy nie kontaktować się z Komisją, a dziennikarze mieli nic o niej nie pisać. Wizytujący arabskie wioski członkowie Komisji spotykali się z generalną niechęcią.

Wielka Brytania ewidentnie chciała się pozbyć niepotrzebnego jej Mandatu, toteż przedstawiciele Korony byli powściągliwi w wyrażaniu opinii i słabo współpracowali z Komisją, która w efekcie fatalnie oceniła sposób sprawowania władzy na powierzonym Anglii terytorium. „Codzienne eksplozje, strzelaniny, porwania, syreny, kontrole” pisał Amerykanin Ralph Bunche – Specjalny Asystent Osobistego Przedstawiciela (*de facto* jeden z zastępców) Sekretarza Generalnego.

Inne podejście przyjęli aktywiści Agencji Żydowskiej (Sochnutu). Do kontaktów z UNSCOP wyznaczono byłego oficera brytyjskiego wywiadu – Aubreya Abę Ebana, który energią swojej uwagi skierował na członków Komisji z Gwatemali, Urugwaju i Peru – z biegiem czasu stawali się oni coraz bardziej pro-syjonistyczni. Przekazywali też Ebanowi informacje z zamkniętych posiedzeń komisji. Obok Ebana działania wywiadowcze prowadziła Hagana, przygotowując codziennie szczegółowe raporty dla przedstawicieli syjonistów. Hagana wkładała też dużo wysiłku w to, by poszczególni członkowie komisji w czasie swoich wędrówek po kraju „przypadkiem” spotykali swoich krajanów. Na przykład Holender Blom, który wcześniej był dyplomatą w Indonezji i przyjechał mając już pro-arabską opinię, ciągle „natykał się” na żydowskich imigrantów z Holandii, którzy zajmowali się produkcją mleka z holenderskich (sic!) krów. Może się to wydać zabawne, ale pod wpływem tych spotkań jego początkowo chłodne raporty kierowane do holenderskiego MSZ-etu stały się entuzjastycznymi wynurzeniami na temat wkładu holenderskiego przemysłu rolnego w rozwój Ziemi Świętej.

Energicznie działała żydowska reprezentacja polityczna: Dawid Ben Gurion zapewniał Komisję, że godzi się na wszelkie warunki i zakres terytorialny, byle tylko powstało oddzielne państwo żydowskie. Jego

deklaracje współpracy przekraczały, jak się po latach okazało, mandat otrzymany od innych syjonistycznych przywódców politycznych. Ale strategia ta ostatecznie okazała się skuteczna.

31 sierpnia 1947 roku UNSCOP zakończył swą pracę nad raportem. Dokument zalecał podział Palestyny na część żydowską i arabską, natomiast Jerozolima miała znaleźć się w strefie poddanej kontroli międzynarodowej. Dnia 3 września 1947 roku komisja UNSCOP przedłożyła Zgromadzeniu Ogólnemu ONZ swoje rekomendacje. Były wśród nich: zakończenie Mandatu, utworzenie dwóch niepodległych państw dla Arabów i Żydów (w tej kolejności wymienianych), ustalenie okresu przejściowego i odpowiedzialność ONZ w tym okresie, nieskrępowany dostęp do miejsc świętych dla wiernych, przyjęcie przez państwo żydowskie 250 tys. ocalałych z Holocaustu uchodźców stłoczonych w obozach dla osób przemieszczonych (DP Camps) w Europie, zaakceptowanie zasad pokoju i demokracji jako podstaw ustrojowych.

Kilka kolejnych tygodni wypełniły intensywne konsultacje polityczne między państwami i prezentacja stanowisk stron. Żydów reprezentowała Agencja Żydowska (szeroka koalicja żydowskich ugrupowań politycznych) z przewodniczącym Dawidem Ben Gurionem. Ważnym członkiem delegacji żydowskiej był rabin Aba Hillel Silver i Mosze Szaret. Obecny był też Aba Eban, który wykorzystał wszelkie arkana dyplomacji, by zwiększyć liczbę państw, które zagłosują na tak.

Dnia 27 listopada 1947 roku rozpoczęła się debata, w czasie której poszczególne kraje członkowskie prezentowały swoje stanowiska. Przyjęcie rekomendacji UNSCOP nie było oczywiste.

W kulminacyjnym momencie pojawiła się też CIA. Dosłownie w przeddzień głosowania Prezydent USA Harry Truman otrzymał tajną analizę wywiadowczą, która wykazywała, że – w przypadku przyjęcia rekomendacji Komisji zalecającej utworzenie dwóch państw – na Bliskim Wschodzie wybuchnie wojna, w której Żydzi nie będą w stanie odeprzeć ataku, co jednocześnie spowoduje zagrożenie interesów Ameryki w regionie. Truman wyszedł zatem z inicjatywą tymczasowego przejęcia Mandatu Palestyńskiego przez USA. Nie zaakceptowała tego pomysłu ani społeczność międzynarodowa, ani tym bardziej Agencja Żydowska.

Ostateczne głosowanie odbyło się 29 listopada. Stanowisko korzystne dla powstania dwóch niezależnych państw – przemawiające tym samym za utworzeniem państwa żydowskiego – stało się możliwe dzięki nieoczekiwanej zmianie stanowiska państw bloku wschodniego z ZSRR na czele. Stalin, na podstawie analiz własnych specjalistów, sądził, że skoro państwa zachodnie zdają się popierać Arabów, by potem mieć w nich sojuszników, to dla Sowietów korzystniej będzie poprzeć Izrael i mieć choć jeden przyczółek na Bliskim Wschodzie. Oczywiście, w mandatowej Palestynie wiązało się to z bardzo aktywnym działaniem organizacji

Dnia 27 listopada 1947 roku rozpoczęła się debata, w czasie której poszczególne kraje członkowskie prezentowały swoje stanowiska. Przyjęcie rekomendacji UNSCOP nie było oczywiste.

lewicowych, w tym ideologicznie zbliżonych do komunizmu, oraz pozycją liderów żydowskich, którzy w większości wywodzili się z partii socjalistycznych.

Zatem utworzenie Izraela w Rezolucji Zgromadzenia Ogólnego ONZ nr 181 poparły: Australia, Belgia, Boliwia, Brazylia, Białoruś, Czechosłowacja, Dania, Dominikana, Ekwador, Filipiny, Francja, Gwatemala, Haiti, Holandia, Islandia, Kanada, Kostaryka, Liberia, Luksemburg, Nowa Zelandia, Nikaragua, Norwegia, Panama, Paragwaj, Peru, Polska, Szwecja, Ukraina, Unia Południowej Afryki, USA, Urugwaj, Wenezuela i ZSRR.

Przeciwnie były: Afganistan, Egipt, Grecja, Indie, Iran, Irak, Jemen, Kuba, Liban, Pakistan, Arabia Saudyjska, Syria, Turcja.

Od głosu wstrzymały się: Argentyna, Chile, Chiny, Etiopia, Honduras, Jugosławia, Kolumbia, Meksyk, Salwador i Wielka Brytania.

Raport uzyskał więc większość 2/3 głosów. W konsekwencji Zgromadzenie Ogólne ONZ podjęło decyzję o podziale Palestyny. Zgodnie z nim państwo żydowskie miało zajmować 54% obszaru Palestyny, na którym Żydzi stanowić mieli 55% ludności (czyli 498 tys. spośród 905 tys.). Należało jednak do tego doliczyć perspektywę ponad 200 tys. Żydów oczekujących na możliwości emigracji z Europy. Państwo arabskie miało natomiast liczyć 735 tys. mieszkańców, w tym jedynie 10 tys. Żydów. W Jerozolimie na 205 tys. mieszkańców Żydzi stanowić mieli 100 tys. To sporne miasto, niesłychanie ważne z religijnego punktu widzenia dla obu stron, miało mieć status międzynarodowy i podlegać Radzie Powierniczej ONZ przez kolejne 10 lat. Natychmiast po głosowaniu przedstawiciel organizacji syjonistycznej w Waszyngtonie został zaproszony do złożenia listów uwierzytelniających jako reprezentant nowego państwa żydowskiego. Pismo zostało złożone, ale... nie zawierało jeszcze nazwy powstałego kraju, która miała zostać uzupełniona później.

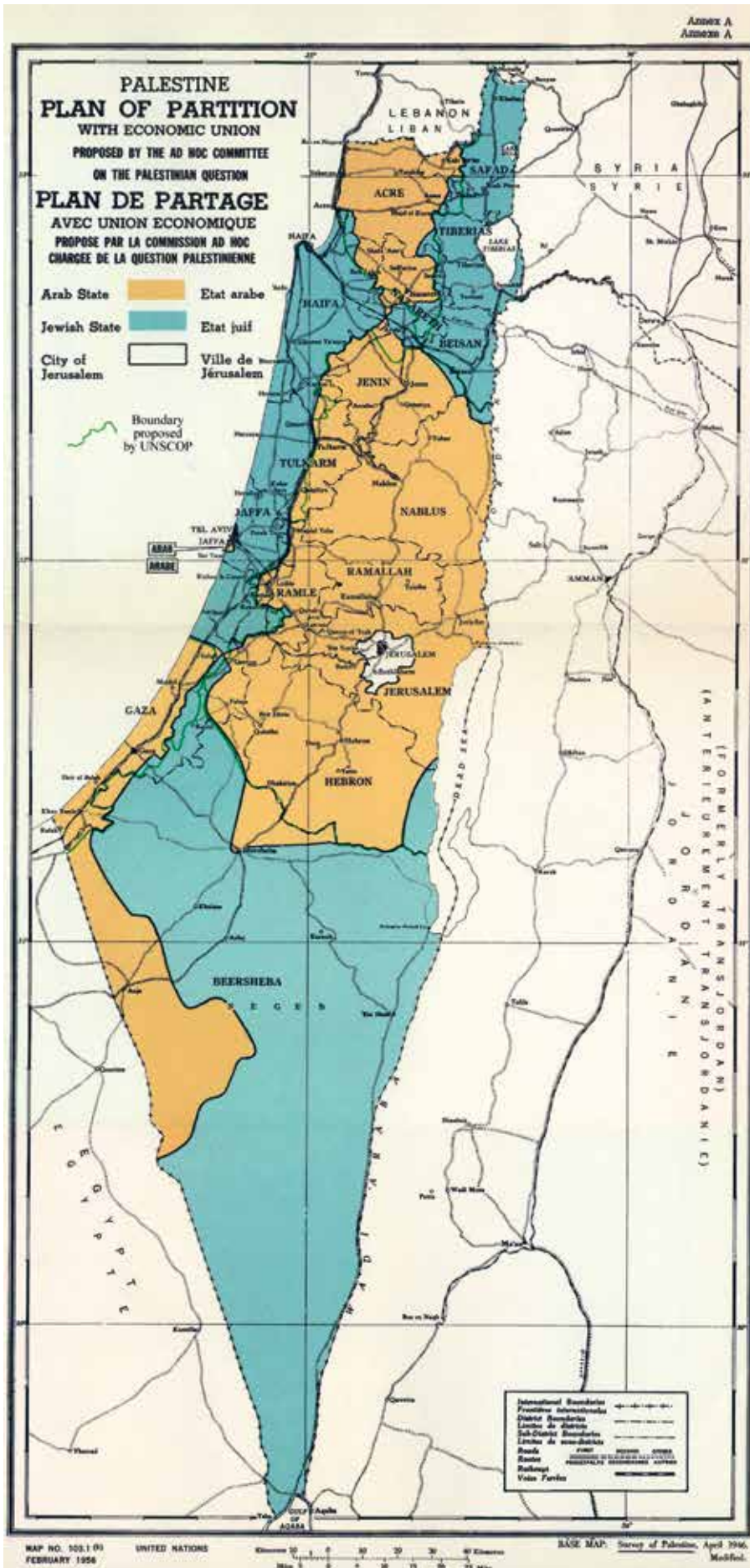
Dalsza historia jest powszechnie znana. Następnego dnia ościennie kraje arabskie zaatakowały Żydów i wywołały wojnę, którą przegrali. 14 maja 1948 roku Izrael ogłosił niepodległość. Przewodniczącym Tymczasowej Rady Stanu został Chaim Weizmann. Na jej pierwszym posiedzeniu powiedział: „Jest to wielki dzień w naszych dziejach. Niech nie będzie nam to poczytane za przejaw pychy, jeśli powiemy, że jest to również wielki dzień w dziejach świata. Odrodzenie państwa żydowskiego to efekt walki w słusznej sprawie. Jeśli my, cierpiący i nieszczęśliwy naród, zubożały i sponiewierany, otrzymaliśmy przywilej świętowania tej okazji, to istnieje nadzieja dla wszystkich, którzy dążą do sprawiedliwości”. Premierem został Dawid Ben Gurion, który obwieścił, że powstało Państwo Izrael – bo tak zdecydowano się nazwać nowo powstałe państwo – od tego momentu pełnoprawnego członka ONZ.

Rezolucja nr 181 z dnia 29 listopada 1947 roku ma ogromne znaczenie – dzięki niej powstało Państwo Izrael, bezpieczne schronienie dla niemających swego państwa Żydów. Izrael powstał w pokojowy sposób, w demokratycznej procedurze Organizacji Narodów Zjednoczonych, zgodnie z prawem międzynarodowym.

Jeśli w Izraelu spotkacie ulicę o nazwie „Kaf Tet Be-November” – to właśnie traficie na upamiętnienie tej ważnej dla historii kraju daty. ■

Monika Krawczyk – adwokat, manager kultury, dyrektorka ŻIH.

REZOLUCJA ZGROMADZENIA OGÓLNEGO ONZ NR 181. ŹRÓDŁO: WIKIPEDIA



Mapa przedstawiająca proponowany podział Palestyny

Legendy żydowskie o powstaniu

wyboru dokonała Karolina
Szymaniak

A. ALMI (E.CH. SZEPS)

Prezentujemy Państwu wybór żydowskich legend dotyczących powstania styczniowego. Oryginalnie zostały spisane w języku jidysz przez A. Almiego. Początkowo ukazywały się jako seria na łamach folklistowskiego wówczas dziennika „Der Moment” w pierwszych latach jego istnienia (1910–1911). W 1928 roku zostały zebrane w tomie *1863. Jidisze powstanie majses* [1863. Żydowskie opowieści o powstaniu]. Rok później pojawił się ich polski przekład pióra Samuela Hirszhorna. Główną informantką Almiego była jego pochodząca z Nasielska babka, która sama przeżyła powstanie, a której pierwszy mąż brał w nim czynny udział. W swojej napisanej w Nowego Jorku przedmowie do żydowskiego wydania Almi pisał: „Część tych legend jest tak piękna i bogata w pierwiastek fantastyczny i podaniowy, że może służyć świetnym materiałem dla artysty lub beletrysty żydowskiego. A może są one piękniejsze w swym stanie niekunsztownym, jak opowiadała je moja babka oraz inne babki i dziadkowie?”. Podkreślał też, że „same opowiadania posiadają wartość kulturalno-historyczną, a może nawet i znaczenie polityczne. Prawda, że trudno mi powiedzieć, czy ta lub owa legenda opiera się na prawdziwym zdarzeniu, lub też na fikcji. W każdym razie legendy warszawskie wskazują, w jakim kierunku pracował umysł żydowski”. Z dzisiejszej perspektywy – legendy te stanowią świetny materiał dla historyków, warsawianistów, antropologów. Pozwalają nam spojrzeć na pogranicze polsko-żydowskie w całej jego złożoności, która obejmuje zarówno historie współpracy, jak i przemocy. Dają też możliwość, by zobaczyć historię powstania styczniowego z wciąż nieobecnej w głównym nurcie perspektywy mniejszościowej, a w zasadzie należałoby powiedzieć perspektyw – bo opowiada się tu historie bardzo różne – mężczyzn i kobiet, żołnierzy i cywilów, męczenników i awanturników.

Patrzący a niewidzialny

Znany był pod nazwą „Symchele starzec” lub „patrzący a niewidzialny”. W owym czasie był on już w wieku lat 80, a jego rówieśnicy opowiadali, że 50 lat przedtem wyglądał tak samo... Nagle Symcha przepadł i nie wiadomo było, gdzie się podział. Jego zniknięcie było tyleż dziwne, jak całe jego życie.

Symcha był biedakiem, mieszkając w pół rozwalonym domku przy ulicy Szymanowskiego (dawnej ulicy Warszawskiej, gdzie następnie wzniesiono cytadelę). Niezależnie od nędzy. W ogóle mu się w życiu nie powodziło. Żona umarła mu przy połogu, dziecko, które mu po niej zostało, wypadło z okna, mając lat trzy, i zabiło się na śmierć. Ale Symcha nie stracił pogodności ducha, nie narzekał, uważając, że skoro taka była wola Boża, więc tak widocznie być powinno. To też poświęcił się filantropii i zbożnym czynom.

Jak jednak może Żyd, u którego nędza piszczy, z każdego kąta, uprawiać dobroczynność? Ale dla chcącego niema nic trudnego. Jeżeli człowiek posiada wrodzoną żyłkę do filantropii, znajdzie już środki, by sprostać maturalnemu powołaniu. Tak się stało i z Symchą. Obchodził on warszawskich Żydów zamożnych i kwestował wśród nich: na ubogich. Kiedy się dowiedział, że gdzieś znajduje się człowiek głodny, nie mógł się uspokoić, dopóki nie zaopatrzył nieboraka we wszystko [co] potrzebne. W zimie dostarczał biedakom węgla i drzewa, które gromadził kawałkami po całej Warszawie, przez cały zaś okrągły rok – chleba i innej żywności.

Sam dla własnej osoby z przedmiotów użebranych nie korzystał. Wyżywał się ciężką pracą, odnosząc jednemu pakunek, popychając drugiemu wózek, lub spełniając temu podobne posługi, za które otrzymywał skromny napiwek... Łatwo się domyśleć, że wszyscy, co znali Symchę, kochali go, tudzież czcili za jego dobroć i pobożność, zwłaszcza że był on wielkim znawcą ksiąg świętych i każdej soboty stał w bóżnicy ma czele gromadki Żydów, studiujących Talmud, służąc im, jako przewodnik, wskazówkami i objaśnieniami.

Podczas powstania styczniowego Symcha pewnego razu się dowiedział, że w lasach znajdują się ludzie, którzy po prostu nie mają, co włożyć do ust. Na wieść tę Symcha zadygotał ze wzruszenia: Jak to? – w jego torbie jest tyle żywności, a tu ludzie głodują. Schwycił więc torbę i udał się do lasu. Po drodze spotyka go znajomy i zapytuje: „Symcho, dokąd idziecie?”

– Do obozu, do powstańców – odpowiada głośno staruszek.

– Cicho, sza – rzekł znajomy z trwogą – mogą jeszcze usłyszeć.

Ale Symcha nie rozumie, czego tu się trzeba pilnować. Czy popełnia grzech? Wszak idzie pomagać głodnym, a to wszak jest zasługą, nakazem religijnym.

Znajomy chce go powstrzymać, ale Symcha nie chce o niczym słyszeć, lecz rusza dalej w drogę. Gdy znalazł się w lesie, zapytywał każdego spotkanego, gdzie są powstańcy. Jedni odsuwali się odeń ze strachu, drudzy uważali, że mają do czynienia z obłąkanym. Wreszcie

jednak natrafił ma samych powstańców, a gdy ci usłyszeli, po co im wlecze swe stare nogi tak daleko, poznali po jego oczach, że ma poczciwe zamiary, więc życzliwie go przyjęli.

Od tego czasu stary Symcha każdego dnia chodził do lasu, nosząc pełne worki żywności, a zwolna stał się dla rewolucjonistów posłańcem – pośrednikiem, którym wyręczali się przy rozmaitych sprawach.

Dawali mu pieniądze na zakup odzieży i żywności, a wszelkie polecenia Symcha wykonywał rzetelnie i dokładnie. A był to pośrednik wielce pożądanym, gdyż na tak starego Żyda nie padało żadne podejrzenie władz. Ale w końcu „moskal” się dowiedział, że pewien Żyd dostarcza prowiantu „buntownikom”, więc wdrożono dochodzenie. Ale szpicle carscy nie potrafili go złapać. Nieraz przechodził Symcha wśród oddziałów wojsk rosyjskich, ale nikt go nie spostrzegł. W rezultacie „moskal” zrezygnował z pojmania tego tajemniczego starego Żyda, i stał się skłonny do uwierzenia, że cała ta historia jest wymysłem jakiegoś nadgorliwego denuncjanta.

Aliści pewnego razu, się zdarzyło, że gdy Symcha szedł z pełnym workiem, usłyszał on, jak ktoś jęczy. Ogląda się dokoła, skąd jęk się donosi i widzi, że ma ziemi przy drzewie leżą dwaj ranieni żołnierze rosyjscy, błagając o pomoc. Symcha zlitował się nad nimi, podszedł do nieszczęsnych i dopomógł im, w miarę możliwości: opatrzył im rany i dał im trochę mleka, jakie miał ze sobą. Było już jednak po części za późno, tak że jeden żołnierz zmarł na jego rękach, drugiego zaś wziął na barki i niósł go póki nie spotkał furmanki, która zabrała ranionego i zawiozła go do szpitala Czerwonego Krzyża.

Władza rosyjska wyraziła Symsze podziękowania i podobno go nawet obdarzyła medalem. Gdy powstańcy się dowiedzieli, że Symcha dopomógł żołnierzom rosyjskim, rozżościli się na niego i nie chcieli go więcej do siebie puścić, Symcha bardzo się zmartwił, nie mogąc zrozumieć żadną miarą, o co się na niego gniewają, gdyż przecież dopomógł tylko nieszczęsnym.

Po pewnym czasie ktoś zadenuncjował Symchę przed władzą carską, że on właśnie jest owym Żydem, który dostarcza prowiantu powstańcom, więc go zaaresztowano. I tylko zasługa uratowania żołnierza rosyjskiego ocaliła go od śmierci. Po tym wypadku Symcha nagle znikł i wszelki ślad po nim zaginął.

Przeklęty lokal

Na Muranowie stał dom, który, według nazwiska właściciela, nazywano „domem Kartowskiego”. W domu tym, istniejącym jeszcze przed powstaniem, mieszkali tylko żebracy, którzy każdego rana wyruszali na miasto, z żonami i dziećmi, by zbierać jałmużnę.

Podczas powstania do domu tego sprowadziła się wybitna rodzina, która zajmowała kilka pokoi, jak przystało na ludzi wcale nie ubogich. Członkowie tej rodziny trzymali się z dala od swych nędzarskich sąsiadów, z nikim się nie znajomili i w ogóle zachowywali się tajemniczo. W gronie żebraków, którzy wzajemnie

doskonale się znali, nowi niepospolici lokatorzy wywołali wielką sensację. Wymyślono rozmaite historie na tym tle, jedną straszniejszą od drugiej.

Jedni mówili, że to są fabrykanci fałszywych pieniędzy. Inni twierdzili, że to są majątkowo podupadli bogacze, którzy zbankrutowali, a przeto muszą się ukrywać. Naprawdę była to znana rodzina zamożna Melsonów (zapewne Samuelsonów), która nie miała nic wspólnego z upadłością. Nowi mieszkańcy musieli się istotnie kryć, ale zgoła z innego powodu. Ta arystokratyczna rodzina żydowska zajmowała się rwaniem szarpiei, którymi bandażowano rewolucjonistów, ranionych podczas powstania, a przeto musiała się przeprowadzić z bogatej dzielnicy do zapadłego kąta, zamieszkałego przez nędzarzy, których policja nie będzie podejrzewała o nic nieprawomyślnego.

Skubaniem płótna do opatrunków zajmowała się żona Melsona i jej dwie córki. Panie te tak były pochłonięte swą pracą, tak oddane rewolucji, że zapomniały o strawie i śnie. Gdy nagromadzało się dość szarpiei, jedna z córek zanosila je do obozu powstańców, przy czym częstokroć ojciec posyłał przez nią okazałą sumkę pieniędzy, tytułem ofiary. Przeważnie odnosiła pakunek młodsza córka Rachela, którą powstańcy bardzo szanowali, a jeden z nich, syn lekarza Ludwik, zakochał się w niej ma zabój. Rachelą wiedziela o jego ku niej miłości i odpłacała mu wzajemnością. Ale pozornie traktowała go zimno. Wiedziela bowiem, że choć jej rodzice wychowani są w duchu polskim, są oni jednak wierni religii żydowskiej, a przeto nie dopuszczają, by córka wyszła za chrześcijanina.

Nagle Ludwika zaaresztowano i skazano na śmierć. Udało mu się jednak wykręcić i umknąć do Krakowa. Stamtąd zarzucał Rachelę listami, w których wyznawał swą namiętną ku niej miłość, prosząc, by koniecznie do niego przyjechała. Rachela spełniła jego życzenie, obiecawszy rodzicom niebawem powrócić. Nie dotrzymała jednak swego słowa, rychło prawie o rodzicach zapomniała, mało do nich pisywała i wychrzciwszy się, wyszła za Ludwika. Gdy rodzice się o tym dowiedzieli, wpadli w strasliwą rozpacz. Ojciec zaraz pojechał do Krakowa, gdzie usiłował wpłynąć na córkę, by powróciła do domu, ale Rachela nie chciała o tym słyszeć, bo nie mogła się rozstać z ukochanym. Ojciec powrócił do Warszawy, i choć był wielce zmartwiony nieszczęściem, które go spotkało, nie przestał skubać szarpiei i dostarczać do obozu powstańczego.

Pewnego razu, gdy matka ze starszą córką siedziały zagłębione w swym smutku i skubały płótno, drzwi się roztworzyły z trzaskiem i do mieszkania wtargnęła banda „budników” (policjantów), by dokonać rewizji, i oczywiście wszystko wykryła. Całą rodzinę związano i odprowadzono do więzienia, gdzie ich po kilku dniach powieszono.

Gdy Rachela otrzymała w Krakowie tę okropną wiadomość, zostawiła wszystko na łaskę losu i zaraz pojechała do Warszawy. Tu spotkała swych dawnych znajomych rewolucjonistów, a ci, w obawie, by i jej nie uwięziono, nie pozwolili jej iść do „domu Kartowskiego”,

lecz zaprowadzili ją do tajnego lokalu przy ulicy Świętojańskiej. Ale policja wysłedziła i to mieszkanie i udała się tam, by aresztować Rachelę i innych powstańców, którzy się tam ukrywali. Gdy policja się zjawiła Rachelą była przypadkowo sama. Ujrzawszy „budników” przez okno, zamknęła mocno drzwi i postanowiła nie poddać się żywą. Istotnie, gdy usłyszała pukanie policji, powiesiła się, a gdy drzwi wyłamano, zastano już tylko trupa.

Ludzie opowiadają, że w ciągu trzech dni po jej tragicznym zgonie szalała w Warszawie niezwykła burza, która zrywała dachy i siała dookoła spustoszenie. Przez cały ten czas, w mieszkaniu, gdzie Rachelą popełniła samobójstwo, sypały się kamienie z okien, które wielu ludziom porozbijały czaszki. Lokal ten przezwano „przeklętą izbą” i w ciągu kilku następnych lat obawiano się w nim zamieszkać...

Osiwiała ze strachu

Owe dni, gdy ta historia się wydarzyła, były szczególnie straszne dla mieszkańców wsi Ochota, pod Warszawą. W okolicach tych wykryto skład broni, należący do powstańców, a przeto wojsko i policja rosyjska otoczyła całą wioskę. Dokonywano masowych rewizji, aresztując zarówno tych, na których padło podejrzenie, jak i tych, którzy niczemu nie zawinili, lecz od których policja się spodziewała wydestakować jakieś zeznanie.

Łatwo sobie wyobrazić strach, jaki ogarnął mieszkańców Ochoty. Umknąć nikt nie mógł, bo cała dzielnica była gęsto obstawiona strażą, więc każdy krył się we własnym domu, dygocąc na całym ciecie. A jeżeli tak się lękali ludzie zupełnie niewinni, to tym większy niepokój przeżywali ci którzy mieli coś na sumieniu.

Do tych ostatnich należał czapnik Salomon Rojzes, który przed pół rokiem się ożenił. Powstańcy skłonili go do robienia polskich czapek wojskowych. Siedzi tedy sobie Salomon z młodą żoną Rebeką i trzęsie się ze strachu. Każdej chwili oczekuje napadu żołnierzy. Wyjść i schować gdzieś czapki jest niepodobiestwem, gdyż na dworze surowa straż rewiduje najmniejszy pakunek, jaki ktokolwiek niesie. Cóż więc począć? Niema żadnej rady! To też młoda para siedzi, spodziewając się najgorszego. Żona leje łzy a mąż znowa płaczącym głosem psalmy. Każde stuknięcie drzwiami przyprawia małżonków o wzburzenie, a każdy szmer wydaje się sto razy silniejszy niż on jest naprawdę.

Lecz oto do domu wtargnęli „budnicy” (policjanci) i żołnierze. Salomon i jego żona skamienieli. W odrętwieniu przyglądają się temu, jak nieproszeni goście wszystko w domu przewracają dnem do góry. Już pochwycono towar, i na wpół gotowe czapki.

- Aha, Moszku - zawołał z zadowoleniem starszy budnik i jego towarzysze dopomagali mu w szydzeniu - zaraz pocznijemy cię katować a szyję twoją zaciągniemy postronkiem. Ot „tak”. (Tu strażnik wykonał odpowiedni gest).

- Jest wódka! - nagle wykrzyknął z triumfem żołnierz, który znalazł w szafie butelkę trunku.

W okamgnieniu flaszka została wypróżniona.

- Teraz, moi drodzy „chodźcie z nami trochę pospacerować” - rzekł ze śmiechem starszy budnik do Salomona i jego żony:

- Ach, co za piękna żydóweczka, niezwykła krasawica! - powiedzieli o Rebecie stupajcy carscy z zachwytem, co za włosy, co za oczy! Szkoda ją zgładzić!

- Tak, istotnie szkoda! - potakiwali wszyscy, nie mogąc oderwać od niej oczu.

- Może ją zostawić i poprzestać na mężu? - zapytał dowodzący wojskiem oficer.

- To jest świetny pomysł! Cóż ona jest winna, że jej mąż jest buntownikiem?

- A zatem zostawiamy tę piękną gołąbeczkę w domu. Ale... musi być cicho sza.

- Do widzenia, dzierlatko! - zęgnął się starszy budnik z Rebeką. - Jutro znowu się zobaczymy.

- Nie! - zaprotestowała Rebeka - weźcie mnie także razem z moim mężem, współ z nim pragnę umrzeć.

- Nie warto, gołąbeczko, szkoda tak przystojnej żydóweczki! - drwił starszy budnik - i nie bacząc na jej protesty, kazał wyprowadzić Salomona i zatarasować za sobą drzwi, pozostawiając Rebece samą w domu.

Salomona odprowadzono do wieży, gdzie zamknięto go w celi razem z innymi więźniami. Nazajutrz Salomon postawiony został przed sąd wojenny, i tego samego dnia powieszony w liczbie wielu innych „przestępców”.

•

Późnym wieczorem starszy budnik i oficer opuścili swe posterunki i udali się do mieszkania Salomona.

- Jaka ona jest piękna! - rozmawiali ze sobą obaj po drodze - co za głębokie przepaściste oczy!

Niebawem siepacze stali przed domkiem, pilnowanym od zewnątrz przez żołnierza. Oficer zapukał, ale wewnątrz panowała martwa cisza i nikt się nie odezwał. Zapukał jeszcze parę razy, ale nikt dalej nie odpowiadał.

- Trzeba wyważyć drzwi - rzekł starszy budnik a jego rozkaz został zaraz spełniony.

Budnik i oficer weszli do izby. Było tam głucho i ciemno. Oficer jako tako zapalił światło.

- Zdaje mi się, że tam ktoś siedzi, na krześle. Wsparta łokciami o stół, siedziała istotnie postać kobieca.

- Któż to może być ta staruszka? - dziwił się budnik.

- A gdzie jest ona? - dodał oficer szukając oczyma po izbie „pięknej żydóweczki”. Obaj się zbliżyli:

- Ach, mój Boże - podskoczył oficer - to wszak jest ona. Osiwiała - ze strachu! Któż nie słyszał o pięknej Rebecie, która osiwiała, mając lat dwadzieścia! W ciągu dziesięciu lat błąkała się następnie po Ochocie i ulicach warszawskich. Z nikim nie zamieniała słówka, przyjmując w milczeniu strawę, jaką dobrzy ludzie dawali jej z litości. Nagle zniknęła i nikt nie wie, gdzie się podziała.

Ja włożę twoje łachy, a ty moje. Jak przyjdzie czas, gdy cię będą mieli wypuścić, to zwrócę twą odzież, bo chcę tylko zobaczyć, jak mi jest do twarzy w ubraniu „gojowskim”.

„Niemy” Motel

W dobie powstaniowej słynął w niektórych dzielnicach Warszawy, zwłaszcza we wsi Ochocie, szewc Motel. Nazywano go przez ironię „niemową”, bo lubił dużo mówić... Miał on podówczas lat dwadzieścia kilka, był krawcem, a jego kawały i fortele cieszyły się wielkim rozgłosem. Jego dowcipy krążyły z ust do ust, a wszyscy, którzy go znali, Żydzi i chrześcijanie bardzo lubili tego wesołego czeladnika krawieckiego.

Pewnego razu – było to w piątek przed wieczorem, przed zapalaniem Świec sobotnich – Motel spieszył się do swej izdebki, gdzie mieszkał i którą otrzymał w spadku po rodzicach. Był już bliski swego mieszkania, gdy nagle wszczął się hałas, rwetes, a gdy zdziwiony obejrzał się dokoła, zauważył uciekającą gromadę powstańców, którzy się skierowali do pobliskiego gęstego lasu i tam zniknęli. Motel także chciał się wynieść, ale było już za późno. Zanim zdążył umknąć, wyrosłi jak spod ziemi żołnierze rosyjscy, a oficer wydał komendę: „Weźcie go!”.

Dwaj żołnierze ujęli Motla pod ramiona a inni otoczyli go najeżonymi bagnietami. Oficer tymczasem przystąpił do badania: „Kim jesteś? Dokąd idziesz?”. Gdy zaś „niemowa” zaklinał się na wszelkie świętości, że o niczym nie wie, że jest krawcem i wraca teraz od klienta, któremu odniósł garnitur, zabrano się do niego na nowo, nalegając, by koniecznie wyjawiał miejsce pobytu powstańców.

Na to jednak Motel zdobyć się nie chciał. Denuncjatorem – powiedział sobie Motel – nie zostanę, choćby mnie porąbano na kawały, ale oficer stał się coraz natarczywszy, dając Motlowi do zrozumienia, że jeżeli nie powie, to będzie z nim źle. Kiedy Motel się przekonał, że się samem przeczeniem z rąk moskiewskich nie wykręci, począł przemyśliwać nad rozmaitymi koncepcjami.

Nagle Motel wyciągnął rękę i wskazując na swą izdebkę, zawołał:

– Oto tam oni się ukryli!

Oficer rozkazał zaraz żołnierzom, by przypuścili szturm do domku, lecz Motel go powstrzymał: – Zaczekajcie lepiej na dworze – rzekł Motel – ja sam do nich wejdę i powiem im, że już odeszliście. Wtedy oni wyjdą i wpadną w wasze ręce żywcem.

„Mołodiec!” – rzekł oficer zadowolony, klepiąc Motla po ramieniu.

Żołnierze usunęli się na bok, a Motel wszedł do swej izdebki. Tam on zebrał w kupę manekiny i naciągnął na nie ubrania i czapki, jak na żywych ludzi. Potem Motel wyszedł do żołnierzy i opowiedział im, że „buntownicy” nie chcą wyjść, gdyż odbywają przedtem naradę. Oficer zakomenderował, by żołnierze natarli na domek. Tymczasem Motel, korzystając z wrzawy, umknął, a żołnierze weszli do domu i widząc figury w ubraniu, sądzili, że to są żywi ludzie, więc poczęli do nich strzelać.

Od tego czasu Motel więcej już się nie pokazał w Ochocie. Przeniósł się do Bródna i porzuciwszy krawiectwo, stał się dostawcą dla powstańców i jako taki płatał moskalom dalej pomysłowe figle.

Prowiant wozził on na wozie przykrytym z góry sznurami, a gdy straż go zatrzymywała, pytając, co wiezie, odpierał, że jest powroźnikiem i że powrozy te wiezie na sprzedaż. Pewnego razu, gdy tak wiózł prowianty do lasu i podszedł do kryjówki, gdzie powstańcy zamieszkiwali, nikt nie otwierał, pomimo, że wymienił hasło. Stoi więc tak Motel z furmanką i czeka. Nagle naskakuje wojsko rosyjskie i pyta:

– Co tu wieziesz?

– Widzicie wszak, szanowni panowie, że powrozy, jestem powroźnikiem.

– Doskonale, ale powstańców zapewne spotkałeś tu w lesie, powiedz więc, bratku, gdzie oni się ukryli.

Motel próbuje zapewnić, że o niczym nie wie, ale Rosjanie odpowiedzią tą się nie zadawalają. Widząc, że jest źle, bo im dłużej trwa badanie, tym zwiększa się dlań niebezpieczeństwo, że mogą tymczasem zauważyć, co on wiezie w swym wózku, Motel skombinował, że powstańcy i tak nie są obecni w swej kryjówce, więc pośle on moskali do niej. Tak też uczynił. Żołnierze zaraz weszli do kryjówki, a Motel tymczasem drapnął ze swą furmanką. Gdy odjechał kawałek drogi, nagle znówu jak spod ziemi wyrosłi kozacy i powtarza się ta sama historia: gdzie – pytają go ci – schowali się powstańcy? Teraz Motel już długo nie myśli, lecz wskazuje im tę samą kryjówkę, szepcząc im zarazem na ucho, że powstańcy przebrali się za żołnierzy: rosyjskich.

Po pewnym czasie Motel postanowił zacząć pędzić spokojny byt, ożenić się i żyć statecznie. Nietrudno mu było dostać narzeczoną, lecz gdy raz spacerował ze swą przyszłą towarzyszką życia, spotkał kilku żołnierzy, którzy poznali w nim figlarza, który ich zwiódł. Motla aresztowano i wsadzono do więzienia.

Nazajutrz po uwięzieniu Motla nagle roztworzyły się drzwi celi. Motel zrazu sądził, że już przybywają do niego strażnicy, by go zaprowadzić na szubienicę, ale omylił się. Wrzucono do jego celi jakiegoś młodzieńca i zatarasowano drzwi z powrotem.

Młodzieniec był pijany jak bela. Mimo to Motel wszczął z nim rozmowę i dowiedział się, że aresztowano go tylko za to, że w stanie nietrzeźwym. Zrobił awanturę i wszczął bijatykę. Motlowi błysnęła świetna myśl. Zwrócił się zaraz do pijaka z pytaniem:

- Chcesz zarobić kilka złotych?

- Czemu nie - odrzekł chłopiec - któż to nie chce zarobić?

- Jeżeli tak, to zamieńmy się ubraniami. Ja włożę twoje łachy, a ty moje. Jak przyjdzie czas, gdy cię będą mieli wypuścić, to zwrócę twą odzież, bo chcę tylko zobaczyć, jak mi jest do twarzy w ubraniu „gojowskim”.

Pijak się zgodził i nastąpiła zamiana. Po paru minutach Motel był ubrany po „gojowsku”, a chłopiec nosił kapotę i czapkę żydowską. Nazajutrz z rana roztworzyły się drzwi. Dozorca z impetem schwycił za kołnierz „pijaka” czyli Motla i kopnąwszy go w tył, wyrzucił go z więzienia.

Co się stało z Motlem następnie, nie wiadomo. Opowiadają, że zwiął do Ameryki.

Zakłócone Kol Nidre

W Sądny Dni wieczorem przed Kol Nidre bóżnica powązkowska wypełniona była po brzegi. Pobożna rzesza zamawia żalną modlitwę „Tefilat Zaka”. Zgroza jom-kipurowa spoczywa na wszystkich obliczach. Obecny Jom Kipur jest cięższy i straszliwszy niż jakikolwiek inny. Niektórzy modlący mają łzy w oczach. Raz po razie wyrywa się głęboki jęk z czyjejs piersi, jęk pełny niewysłowionego bólu. Przy każdym uderzeniu wiatru w okna modląca się gromada rozgląda się, wylekniona, dokoła.

Gorzki, rozdzierający płacz przenika do bóżnicy z oddziału kobiecego. Ustawiczne szlochanie rozbrzmiewa w powietrzu, jeszcze bardziej przygnębiając umysły. Oto kantor już skończył Tefilat Zaka, zaczyna już nucić smętne tony Kol Nidre, lecz słabo i ochryple brzmi jego głos. Ten starszy człowiek płacze jak małe bezradne dziecko, a razem z nim łka cała rzesza. Nie na próżno ci ludzie płaczą. Okropne nieszczęście dotknęło Żydów powązkowskich. Dwaj czcigodni obywatele padli ofiarą złośliwej potwarzy. Przed pół rokiem powieszono pana Samuela Miryńskiego wskutek fałszywej denuncjacji o czynny udział w powstaniu, a parę dni temu rozstrzelano pana Dawida, przezywanego „chazenem” (kantorem), ponieważ rozporządzał pięknym dźwięcznym głosem, miał zamiłowanie do melodii i każdego Sądneho Dnia przewodził

śpiewnie modłom przed „umedem” (ołtarzem) w bóżnicy powązkowskiej.

Pan Dawid stracony został nie przez wojsko rosyjskie, jak pan Samuel, lecz przez samych powstańców, przed którymi oczerniono go jako rzekomego szpiega rosyjskiego. Zastrzelono go, gdy powracał z Powązek do Warszawy. To też w teraźniejszym Jom Kipurze bóżnica pozostała bez kantora specjalnego, i wypadło się posługiwać chazenem całorocznym.

Bóżnica wyglądała tak, jak gdyby cienie przedwcześnie zmarłych unosiły się w jej powietrzu.

Nagle w oddziale kobiecym wszczął się hałas i rwetes. Rozległy się rozpaczliwe krzyki „ratujcie”, przy czym okienka wychodzące z oddziału żeńskiego na męski zostały przez kobiety rozsądzone. Mężczyźni odrętwieli ze strachu. Kantor naraz zamilkł, jak gdyby stracił języka w ustach. Kobiety wyważyły drzwi bóżnicy żeńskiej i weszły do męskiej.

Tam, w oddziale żeńskim, rozgrywała się wstrząsająca scena: kilku nieżydów wlokło Deborę, żonę zamordowanego kantora, Dawida. Nieszczęsna broniła się wszystkimi siłami, ale młodzieńcy byli od niej silniejsi, więc zanim Żydzi bóżniczni mogli ją wyrwać z ich rąk, ci byli już z nią na dworze, wrzucili ją ma wózek i szybko z nią odjechali.

Cała gromada Żydów i Żydówek puściła się w pogoń za wózkiem. Krzyki ich sięgały nieba. Nie zważano na to, że młodzieńcy z daleka straszili, wołając, że Debra jest „zdrajczynią”, ponieważ rzekomo, przez zemstę, wyjawia tajemnice przed moskalami. Biegano dalej za wózkiem, zaprzężonym w parę koni.

Jeszcze słyhać było płacz nieszczęsnej Debory. Ale, im dłużej, tym jej głos bardziej ucichał, wreszcie zupełnie zamilkł, a wózek zniknął w ciemności. Gromada zgorzkniała i przygnębiona, powróciła tedy do bóżnicy.

Nagle zerwała się gwałtowna burza. Zabiły pioruny i załśniły błyskawice. Obłok pyłu stanął wśród ciemnej drogi, a wiatr wyrwał szyby z okien bóżniczych. W bóżnicy wszyscy stłoczyli się w jedną masę i w tym stanie skończyli Kol-Nidre. Potem zaczęto odczytywać Psalterz, zamawiany zazwyczaj w wypadkach smutnych. Nikt nie opuszczał bóżnicy. Nawet w oddziale żeńskim niewiasty pozostały, oprócz kilku, które miały w domu niemowlęta. Godziny ciągnęły się nieskończenie długo. Płacz w bóżnicy mieszał się z wyciem wiatru na dworze. Od czasu do czasu błyskawica oświetliła niebo, grzmot ogłuszył powietrze, spadając gdzieś z loskotem długo, długo... Coraz bardziej zapadała noc, a strach w bóżnicy ciągle się powiększał.

Nagle cała gromada zadrżała. Z ulicy doszedł głośny turkot kół i rżenie koni, jak gdyby ktoś podjechał ku bóżnicy. Istotnie przed podwojami domu Bożego zatrzymał się wóz. Wszyscy wybiegli na dwór z bijącym sercem: „kto wie - myśleli - co za nowe nieszczęście zważyło się na nas, nieboraków?”. Ale na dworze zauważyli przed sobą następujący niezwykły obraz: Stała tu ta sama furmanka, na której wywieziono Deborę. Młodzieńcy, którzy wyłapali ją z bóżnicy leżeli bez znaku

życia, a obok nich leżała pochwycona Debora także bez najmniejszego ruchu. Wniesiono Deborę do bóżnicy i poczęto ją cucić, po czym roztworzyła oczy. Wszyscy odetchnęli swobodniej.

Gdy nieco oprzytomniała, opowiedziała, że po drodze piorun uderzył w wóz i zabił jej prześladowców. Konie puściły się pełnym galopem. Była bardzo osłabiona, więc nie mogła zeskoczyć z wozu. Nagle spostrzegła postać swego zamordowanego męża. On to zagroził drogę koniom, które zaraz się wykręciły i pojechały z powrotem. Ze strachu Debora zemdląła i nie wie, co się działo dalej.

Gdy gromada wyszła potem z bóżnicy, wózka z umarłymi już nie było i nikt nie wie, gdzie się podział. ■

przełożył Samuel Hirszhorn

A. Almi (Eliou Chaim Szeps, 1892–1963) – żydowski dziennikarz i pisarz pochodzący z Warszawy, od 1912 roku mieszkał w Nowym Jorku, gdzie też zmarł. Na początku XX wieku znalazł się w kręgu oddziaływania folklorysty i językoznawcy oraz polityka Nojecha Pryłuckiego i zaangażował się w zbieranie materiałów etnograficznych. Współpracował również z wydawanym przez Pryłuckiego dziennikiem „Der Moment” (1910–1939). Wydał kilkanaście tomików poezji, esejów, rozważań filozoficznych i krytyki literackiej.

Samuel Hirszhorn (1876–1942) – żydowski dziennikarz, tłumacz i polityk urodzony w Słonimiu, zamieszkały w Warszawie. Więzień getta warszawskiego, w 1942 roku w czasie trwania akcji likwidacyjnej popełnił samobójstwo. Współpracował z prasą polsko-żydowską, przekładał z języka jidysz, hebrajskiego i francuskiego. Był jednym z założycieli partii folkistów, wspólnie m.in. z Pryłuckim, posłem na Sejm Ustawodawczy, a także wieloletnim warszawskim radnym. Autor kilkunastu tomów poświęconych historii żydowskiej, tłumaczeń i antologii literackich.

Muzyka Wielkiej Synagogi

JAKUB STEFEK

Rozległy się poważne dźwięki organów [...]. Podczas [...] pochodu przez środkową nawę synagogi wprost ołtarza, chór, przy akompaniamencie organów, śpiewał hymn: Ma towu „O, jakże piękne są twe namioty, Jakóbie, twoje przybytki, Izraelu!”

Powyższy fragment relacji z inauguracji funkcjonowania Wielkiej Synagogi na Tłomackiem 26 września 1878 roku jest bodaj najczęściej przytaczanym, cytowanym i rozpowszechnianym opisem atmosfery celebracji liturgicznych, który dostarcza wiedzę o muzyce, która była ich częścią w tym miejscu. Pozostaje również fragmentem niezwykle zagadkowym, jednak niewiele było osób, które do tej pory postanowiły się nad tymi zagadkami pochylić. Po pierwsze – sama obecność organów w synagodze jest dla wszystkich zaskakująca. Przez dziesiątki powojennych lat zapomnieliśmy lub nigdy nie dowiedzieliśmy się o tym, że setki synagog budowanych w XIX i XX wieku były wyposażone w te właśnie instrumenty. Po drugie – autor relacji wyraźnie wskazuje, że najpierw „rozległy się poważne dźwięki organów”, a dopiero potem dołączył do nich śpiew chóru. Oznacza to, że na początku całego wydarzenia wykonane zostało organowe preludium – a zatem na Tłomackiem wykonywana była nie tylko muzyka chóralna, lecz także solowa muzyka instrumentalna, która pozostaje dzisiaj nieodkryta. Po trzecie – muzyka ta pozostawała w ścisłym związku z akcją liturgiczną. Nie była czymś oderwanym, wypreparowanym,

Dziesiątki opracowań muzycznych psalmów, hymnów i innych modlitw na kantora, chór i organy, których zapisy nutowe przetrwały do naszych czasów, zaskakują przede wszystkim swoją różnorodnością.

funkcjonującym w sterylnych warunkach koncertowych, ale czymś żywym, niosącym przekaz i wprawiającym uczestników liturgii w silne emocje. Dziś nie ma w Polsce miejsca, w którym moglibyśmy doświadczyć jej właśnie w ten sposób.

Dla muzyka chęć zgłębienia tych trzech zagadek stanowi silny impuls do rozpoczęcia poszukiwań i znalezienia odpowiedzi na pytania: Jakie organy stały w Wielkiej Synagodze na Tłomackiem? Jakie utwory były na nich wykonywane? Jakiego rodzaju wykonanie pozwoliłoby nam na doświadczenie tych samych emocji, które przeżywali zgromadzeni dziesiątki lat temu?

Prawdopodobnie jedyną próbę rozstrzygnięcia dylematu, jaki instrument znajdował się w najwspanialszej bożnicy w Warszawie, podjęła Halina Goldberg w artykule opublikowanym na łamach „Studiów Chopinowskich” w 2020 roku. Autorka streszcza debatę o wprowadzeniu muzyki organowej do żydowskiej liturgii, która toczyła się na łamach „Izraelity” w 1875 roku. Kaznodzieja Synagogi Polskiej Herman Klüger jawił się w niej jako zdecydowany przeciwnik wprowadzenia organów do synagogi, uważając je za nieodpowiednie do żydowskiej liturgii. Ponadto uważał organy za instrument co prawda oddziałujący na masy wiernych, niezdolny jednak do pełnego kształtowania wyrazu artystycznego, określając je jako „grzmiące a zimne”. W roli jego adwersarza występował Henryk Peltyn, redaktor „Izraelity”, który posługując się różnego rodzaju argumentami historycznymi i społecznymi – od czasów biblijnych po współczesne trendy niemieckie – słusznie widział w organach synagogałnych narzędzie do osiągnięcia głębszych celów zakorzenionych w żydowskim ruchu reformatorskim XIX stulecia.

Dyskusja na ten temat toczyła się na różnych forach i z różną intensywnością przez kolejne dziesięciolecia, nie było to jednak specyfiką wyłącznie Wielkiej Synagogi na Tłomackiem. Podobne spory toczyły się wcześniej w Niemczech – od 1810 roku, czyli od pierwszego udokumentowanego użycia organów podczas liturgii synagogałnej. Ich pozycja nad Renem została ostatecznie ugruntowana dopiero w następstwie zatwierdzenia w dniu 18 stycznia 1863 roku instalacji instrumentu w synagodze przy Oranienburgerstraße w Berlinie oraz ustaleń Drugiego Synodu Żydowskiego, który odbył się w 1871 roku w Augsburgu. Dopiero wtedy oficjalnie zezwolono muzykom, zarówno żydowskiego, jak i nieżydowskiego pochodzenia, grać na organach podczas liturgii w synagogach w Szabat oraz w święta.

Po przeanalizowaniu ksiąg dokumentujących koszty funkcjonowania synagogi oraz nielicznych innych źródeł Goldberg dochodzi do wniosku, że organów piszczałkowych nigdy na Tłomackiem nie było, a zachowane relacje świadczą o mylnym odbieraniu brzmienia fisharmonii. Czy jednak aż taka pomyłka słuchaczy byłaby możliwa? Fisharmonia, jako instrument niewielkich rozmiarów, nie mogła wydobywać „poważnego dźwięku organów”, zdolnego nie tylko akompaniować znacznych rozmiarów chórowi, lecz także przebić się w przepastnym wnętrzu przez gwar kilku tysięcy osób zgromadzonych w Wielkiej Synagodze. (Gwar ten musiał być znaczny, skoro aby go ograniczyć, wprowadzono specjalnie skonstruowany regulamin zachowywania się zgromadzenia w nowopowstałej bożnicy). Ponadto wzmianki o muzyce organowej obecne są w kilku innych źródłach, w tym w *Krótkim ilustrowanym przewodniku po Warszawie*, a informację o obecności organów powtarzają wszystkie współczesne opracowania. Prosta konstatacja prawdopodobnie już nigdy nam nie wystarczy, zwłaszcza jeśli przeniesiemy nasze rozważania na grunt synagogałnej literatury muzycznej oraz emocji, jakie niesło jej wykonywanie, słuchanie i przeżywanie.

Dziesiątki opracowań muzycznych psalmów, hymnów i innych modlitw na kantora, chór i organy, których zapisy nutowe przetrwały do naszych czasów, zaskakują przede wszystkim swoją różnorodnością. Ich rdzeniem są zawsze charakterystyczne melodie i ich skale wywodzące swój rodowód z czasów starożytnych, przez wiele stuleci przekazywane ustnie i spisane w XIX wieku. Zgodnie z ideałami żydowskiego ruchu reformatorskiego melodie te łączone były z nowoczesnym językiem muzycznym, aby wykonywana w synagogach muzyka stała się zrozumiała dla wszystkich wyedukowanych zgodnie z obowiązującymi i powszechnymi trendami w sztuce muzycznej. Mamy zatem opracowania podobne do chorałów bachowskich, romantycznych motetów, operowych arii, ale i polskich pieśni kościelnych, stylu moniuszkowskiego, a nawet śpiewów cerkiewnych czy piosenek ludowych.

Na plan pierwszy wysuwa się w tym kontekście muzyka Salomona Sulzera (1804–1890) i Louisa Lewandowskiego (1821–1894), dwóch najważniejszych kompozytorów, których



Wielka Synagoga na Tłomackim. Przed 1939

dzieła i antologie muzyczne podawane są do dzisiaj jako wzór muzyki synagoidalnej nurtu reformowanego, zwłaszcza na terenie Niemiec i Europy Środkowej. Najprawdopodobniej do odśpiewania wspomnianego w przytoczonej relacji hymnu *Ma tovu* użyto opracowania jednego z tych dwóch autorów. Jeśli poprzedziło je preludium organowe, mogło być to Preludium nr 1 z op. 37 Louisa Lewandowskiego, gdyż było ono przeznaczone do wykonywania w święto Rosz Haszana (zawierając najpopularniejszy motyw muzyczny tego święta). W ten sposób – dysponując przeglądem literatury muzycznej oraz pojedynczymi wzmiankami z różnych źródeł – jesteśmy w stanie zebrać historycznie uzasadniony repertuar Wielkiej Synagogi. Choć niektóre publikacje twierdzą inaczej, część zapisów nutowych utworów, które z pewnością wykonywano w Wielkiej Synagodze na Tłomackim, przetrwała do naszych czasów. W grupie tej są utwory kantorów warszawskich, natomiast wiarygodne historycznie ich wykonanie wymagać będzie powrotu do dylematu instrumentarium.

Bez wątplenia chór synagoidalny składał się z kilkudziesięciu śpiewaków – chłopców i mężczyzn, spośród których najprawdopodobniej zdecydowana większość odebrała solidne muzyczne wykształcenie. Nad ich śpiewem czuwał kierownik chóru, natomiast za całokształt spraw związanych z liturgią, jak również jej prowadzenie i wykonywanie modlitw, odpowiedzialny był główny kantor oraz drugi kantor. Prawie wszyscy oni uzyskiwali stanowiska w drodze konkursu. Listę najwybitniejszych postaci otwierają bez wątplenia kantor Gerszon Sirota i chórmistrz Dawid Ajzensztadt, ale o wysokim poziomie muzycznym świadczyć może także lista przegranych, do których nieszczęśliwie zalicza się Jakub Weiss (choć jego utwory pozostawały niezwykle popularne we wszystkich reformowanych synagogach Warszawy aż do końca ich funkcjonowania).

Jedynym satysfakcjonującym uzupełnieniem śpiewu tak wybitnego zespołu i starannie dobranych solistów mogła być albo orkiestra, albo organy, natomiast z całą pewnością fisharmonia – nawet jeżeli zgodzimy się co do tego, że faktycznie była używana na Tłomackiem – mogła stanowić jedynie pewnego rodzaju rozwiązanie przejściowe lub ćwiczebne. Rodzi to kolejne niezwykle pytanie: Czy dzisiaj, rekonstruując muzykę Wielkiej Synagogi, chcemy ją usłyszeć taką, jaka była, czy może taką, jaką wyobrażali sobie jej twórcy?

Zbudowanie właściwego wyobrażenia o muzyce Wielkiej Synagogi wymaga pochylenia się nad trzecim wspomnianym na początku zagadnieniem. Dziś w Polsce nie ma miejsca, w którym moglibyśmy doświadczyć prawdziwego kontekstu wykonywania muzycznych opracowań modlitw, używanych kiedyś w liturgii synagogałnej. Wymagałoby to nie tylko odpowiedniej przestrzeni – a jak wiadomo architektura wspaniałych synagog była kształtowana według dokładnie przemyślanego programu ideowego – lecz także z pietyzmem konstruowanej akcji liturgicznej, która bez wątpienia każdorazowo rozgrywała się w tych okolicznościach. Najważniejszym zadaniem muzyki synagogałnej jest wprowadzenie zgromadzonych w modlitewną atmosferę stosowną do dnia w kalendarzu liturgicznym oraz momentu samej liturgii. Synergia wszystkich wspomnianych elementów ma ułatwiać kierowanie myśli w stronę mistyczną. A zatem i w nielicznych okolicznościach koncertowych, podczas których obecnie staramy się prezentować te utwory, uruchomienie wyobraźni wykonawców i słuchaczy jest absolutnie niezbędne, by ów kontekst zbudować przynajmniej indywidualnie, według osobistej wrażliwości.

Trzy zagadki dotyczące muzyki rozbrzmiewającej w Wielkiej Synagodze na Tłomackiem, a wynikające z fragmentu relacji z jej otwarcia, tylko pozornie pozostają nierozwiązane. Na gruncie historycznym i naukowym nie będziemy w stanie rozstrzygnąć wielu dylematów. Dlaczego zachowały się wspomnienia o „poważnych dźwiękach organów”, jeżeli nieliczne źródła wskazują raczej na używanie fisharmonii? Jaka była prawdziwa i kompletna biblioteka literatury muzycznej używanej do oprawy widowiskowych celebracji? W jaki sposób synergia tej muzyki, przestrzeni i rozgrywanej się w niej akcji wpływały na emocje zebranych osób?

Jest jednak możliwe ponowne ukształtowanie tej muzyki na gruncie artystycznym. Na podstawie wiedzy o niej jesteśmy w stanie kształtować brzmienie – bogate lub skromne, pełne splendoru lub pełne intymności, dostojne lub żałobne. Wszystko to możemy robić, wykorzystując zarówno historyczne, jak i współczesne instrumentarium oraz posiłkując się wskazówkami i impresjami pozostawionymi przez kompozytorów na marginesach ich dzieł. Jesteśmy w stanie wskrzeszać ideę łączenia starego dziedzictwa ze współczesnym nam językiem muzycznym, przez co utwory – obecnie podobnie jak kiedyś – stają się nośnikami treści i wartości. Jesteśmy także w stanie kreować wyjątkową atmosferę i okoliczności wykonywania muzyki, w której nie będzie ona tylko czymś, czego się słucha, ale czymś, co się przeżywa.

Takie jest moim zdaniem dziedzictwo muzyczne Wielkiej Synagogi na Tłomackiem, które tak naprawdę jest dziedzictwem niezwykle uniwersalnym i zrozumiałym dla każdego, bez względu na przynależność religijną i wyznawany światopogląd. O tym również myślę, kiedy pod moimi palcami rozlegają się poważne dźwięki organów. ■

Jakub Stefek – doktor sztuki i doktor nauk ekonomicznych.

Absolwent Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie i wykładowca w Akademii Sztuki w Szczecinie. Współpracuje z Gminą Żydowską w Berlinie jako organista w Synagodze Pestalozzistrasse w Berlinie. Otrzymał wyróżnienie X edycji Konkursu im. Majera Bałabana na najlepszą pracę doktorską o Żydach i Izraelu.



**Płyta gramofonowa z muzyką Gerszona Siroty i orkiestrą
Wielkiej Synagogi na Tłomackiem, lata 30. XX w. Syrena-Electro**

DEBIUT

Zaangażowana bez granic Alina Margolis-Edelman

EWA KAMIŃSKA-BUŻAŁEK

Alina Margolis-Edelman obchodziłaby w tym roku setne urodziny. Była Żydówką, lekarką, zasłużoną działaczką społeczną, emigrantką marcową. Kilka miesięcy temu Rada Miejska w Łodzi – jej rodzinnym mieście – w związku ze zbliżającą się rocznicą zdecydowała się uczynić ją patronką roku 2022. Nikt nie przypuszczał wówczas, że rozmowa o zaangażowaniu społecznym, z którego była znana, dotknie w tak dużym stopniu teraźniejszości. Alina Margolis-Edelman przez lata, jako członkini Lekarzy bez Granic i Lekarzy Świata, niosła pomoc ofiarom konfliktów zbrojnych. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę wokół obchodów jej roku pojawiły się więc nowe konteksty, już nie tylko czysto historyczne.

W cieniu męża i rodziców

Jednak działalność humanitarna nie jest pierwszym skojarzeniem, gdy myśli się o postaci Aliny Margolis-Edelman. Na pierwszym planie nie stawia się jej dorobku, a małżeństwo z Markiem Edelmanem, jednym z przywódców powstania w getcie warszawskim. Mało komu byłoby łatwo wyjść z jego cienia.

Tuż obok sytuje się skojarzenie z „Alą z *Elementarza*”, czyli posiadającą kota bohaterką napisanego przez Mariana Falskiego podręcznika do nauki czytania. Z książki tej korzystało wiele pokoleń dzieci w Polsce i jest ona wciąż wznawiana, choć już nie do celów dydaktycznych, lecz z myślą o sentymencie, który budzi wśród dawnych, od lat dorosłych czytelników i czytelniczek. Marian Falski przyjaźnił się z rodzicami Aliny Margolis i któregoś dnia подарował jej swój *Elementarz* z dedykacją „Ali z *Elementarza* – Autor”. Wbrew

obiegowym przekonaniom, nie można jednak powiedzieć, że Alina Margolis była pierwowzorem Ali. Postać dziewczynki o tym imieniu pojawiła się w podręczniku jeszcze przed narodzinami Margolisówny. Co więcej, na pierwszych ilustracjach Ala była blondynką. Mimo to Alina Margolis-Edelman, publikując w 1994 roku swoje wspomnienia z dzieciństwa i czasów drugiej wojny światowej, z tytułowała je właśnie *Ala z Elementarza*. To wybór przewrotny: tytuł budzi pozytywne emocje i zupełnie nie zdradza wstrząsającej treści, na którą składają się m.in. historie głodu, śmierci i wyborów moralnych okresu Zagłady.

Jeśli do skojarzenia z podręcznikiem dla dzieci i hasłem „Ala z *Elementarza*” dodamy chętnie przywoływany w mediach obraz starszej pani odbierającej Order Uśmiechu, możemy łatwo zapomnieć, że była to postać skomplikowana i wielowymiarowa, a jej biografia to coś więcej niż opowieść o bezinteresownej pomocy. To zresztą pułapka, w którą często wpychane są kobiety zajmujące się tematyką dziecięcą. Nie chcąc trywializować postaci Aliny Margolis-Edelman, można postawić pytanie o przyczyny jej zaangażowania społecznego – zaangażowania, które przedkładała ponoć (zbyt?) często ponad życie rodzinne czy własny odpoczynek. Czy były to przeżycia z okresu Zagłady, czy postawa wyniesiona z domu?

Zarówno matka, jak i ojciec Aliny Margolis byli zasłużonymi łódzkimi społecznikami. Ojciec, Aleksander Margolis kształcił się w kilku europejskich miastach, ukończył medycynę na uczelni w Strasburgu i pracował jako lekarz oraz ordynator oddziału chorób zakaźnych, a potem dyrektor szpitala miejskiego na Radogoszczu w Łodzi. Margolis angażował się także w działalność polityczną. W dwudziestolecie międzywojennym



ZBIORY ŻIH

**Zdjęcie portretowe Aleksandra Margolisa,
ojca Aliny Margolis-Edelman**

należał do grona czołowych łódzkich działaczy Bundu. Z ramienia tej partii kandydował w wyborach do Sejmu Ustawodawczego w 1919 roku. Nie zdobył mandatu, jednak rozwijał karierę polityczną, zasiadając m.in. w Radzie Miasta Łodzi. Był członkiem żydowskich zrzeszeń dobroczynnych i oświatowych. Organizował w Łodzi protest przeciwko gettu ławkowemu, co jest o tyle interesujące, że w mieście tym nie działała wówczas żadna publiczna uczelnia wyższa. Margolis potrafił jednak wyjść poza działania typowo lokalne. Lista spraw, w które się angażował, jest imponująca. Był np. jednym z inicjatorów powołania w Łodzi pierwszej w Polsce poradni świadomego macierzyństwa, którą finansowano z publicznych, miejskich środków. Margolis walczył także – z powodzeniem! – o powołanie w Łodzi Kasy Chorych, która miała polepszyć sytuację rodzin robotniczych. Został przewodniczącym Rady Naczelnej Walki z Gruźlicą, a pamiętać trzeba, że gruźlica była wówczas bardzo poważnym problemem w Łodzi – mieście słynącym z fatalnych warunków sanitarnych i z ogromnego stłoczenia ludności w mieszkaniach i fabrykach. Pełnił także funkcję kierownika wydziału zdrowia łódzkiego urzędu miasta i w związku z tym otrzymał mieszkanie na tzw. osiedlu magistrackim, a konkretnie przy dzisiejszej ul. Zelwerowicza. Dom ten po latach stanie się ważnym adresem w życiu Marku Edelmana, jego zięcia, którego jednak Aleksander Margolis nigdy nie pozna. Ojciec Aliny Margolis został zamordowany przez hitlerowców jesienią 1939 roku. Rodzina dowiedziała się o tym dopiero po wojnie. Kiedy ostatni raz widział

się z córką, już jako więzień obozu przejściowego zatrzymany w ramach *Intelligenzaktion*, zapytał ją, czy są podejmowane jakieś starania, by go uwolnić. Alina odparła, że tak, ale „nic się nie da zrobić”. Po latach napisała, że została z tymi słowami na całe życie.

Kiedy prześledzimy wojenne losy Aliny Margolis, zauważymy, że liczne i serdeczne znajomości jej rodziców z polskimi lekarzami, wynikające z ich aktywności społecznej i zawodowej, prawdopodobnie pozwoliły bohaterce niniejszego tekstu przetrwać wojnę. Również Jan, młodszy brat Aliny, ocalał z Zagłady, o czym zdecydowały m.in. wybory ideowe jego rodziców. Aleksander Margolis i Anna z domu Markson zdecydowali się wziąć ślub cywilny (mimo że rodziło to wówczas niemałe komplikacje), a także nie obrzezać syna. Ten ostatni fakt pomógł mu w czasie wojny opuścić warszawskie getto i nie paść ofiarą szmalcowników. Ponadto w domu Margolisów rozmawiano wyłącznie po polsku.

Matka Aliny również była lekarką. Medycynę studiowała w Bonn. Jak opisuje jej córka, „miała tylko jeden kłopot: profesorowie nie uznawali kobiet na studiach i mama razem ze swoją przyjaciółką z Paryża, jedyne dwie studentki, musiały słuchać wykładów, siedząc na podłodze za rzędami ławek – ukryte za plecami kolegów. Kiedy profesor zauważał studentkę, przerywał wykład i wychodził z sali”. Z dyplomem przyjechała do Łodzi i rozpoczęła pracę w Szpitalu Anny Marii (dziś im. Janusza Korczaka). Po wybuchu wojny, w związku z wcieleniem tzw. Kraju Warty (w tym Łodzi) do Trzeciej Rzeszy, wysłała dzieci do Warszawy, później sama

do nich dołączyła. Wszyscy trafili do getta. W getcie warszawskim dr Margolisowa została ordynatorką oddziału gruźliczego w Szpitalu dla Dzieci im. Bersohnów i Baumanów. Jak wyglądała praca w szpitalu, którego pacjenci byli, jak się szybko okazało, skazani na Zagładę? „Rano zabiegi, pobieranie krwi, obchód, wpisywanie zaleceń, potem wypełnianie historii chorób, prowadzenie ich na wzór kliniczny tak, aby dokumentacja mogła przetrwać lata. Ani na chwilę nie można było dopuścić myśli, że ta dokumentacja nikomu do niczego się nie przyda – tak jak nie wolno było dopuścić myśli, że można zaniedbać cokolwiek przy chorym dziecku” – relacjonowała we wspomnieniach spisanych pod koniec życia Adina Blady-Szwajger, która także tuż po wojnie współpracowała z Anną Margolisową. Margolisowa była wówczas organizatorką sanatorium dla dzieci w łódzkich Łągowcach. Do dziś można tam oglądać tablicę, która ją upamiętnia, choć sam budynek jest obecnie opuszczony i powoli niszczeje.

Jak wspomina Alina Margolis-Edelman, jej rodzice poza intensywnym życiem zawodowym i niestrudzoną działalnością społeczną prowadzili bogate życie towarzyskie. Dziećmi zajmowała się głównie niania. O ile przedwojenna codzienność wiązała się raczej z nieobecnością matki, to w czasie wojny Anna Margolisowa robi wszystko, by ocalić dzieci. Zapisuje córkę do Żydowskiej Szkoły Pielęgniarek prowadzonej przez Lubę Blum-Bielicką, która zapewnia uczennicom większe bezpieczeństwo i namiastkę normalności. „Na zatłoczonych, brudnych, szaro-bezbarwnych ulicach getta widywało się grupy dziewczyn w różowych sukienkach, z białymi fartuchami na szelki i białych czepeczkach na głowie. Wyglądały jak różowe płatki kwiatów, może fiołków alpejskich, a w swojej jasności, czystości i pastelowej barwności sprawiały wrażenie istot nierealnych, zjaw przybyłych nie wiadomo skąd” – wspomina Margolis-Edelman. Dyrektorka szkoły dbała o wysoki poziom nauczania i żelazną dyscyplinę. Alina Margolis-Edelman zastanawiała się, czy był to brak wyobraźni, czy może „jej prywatny ruch oporu”.

Poza gettem

Sytuacja w getcie stawała się coraz bardziej dramatyczna. W lipcu 1942 roku Niemcy przystąpili do „Wielkiej Akcji”, czyli wywózki ludzi do obozu zagłady w Treblince. Deportacje były poprzedzone aktami terroru. Kiedy zatem pojawiły się plotki, że rodziny żydowskiej administracji getta otrzymają gwarancję bezpieczeństwa, Anna Margolisowa zorganizowała szybki ślub córki ze znajomym urzędnikiem. Ten jednak kilka dni później popełnił samobójstwo. Margolisowa wysłała dzieci na tzw. stronę aryjską. Alina trafiła do małżeństwa Zofii i Wincentego Tomaszewiczów, łódzkich lekarzy, którzy przenieśli się do Warszawy, ale szybko zdecydowała się wrócić do getta. Jej matka ponawia akcję ratowniczą. Tym razem angażuje się w nią Maria Kapuścińska, żona Stanisława – również lekarza, po wojnie kierownika jednej z katedr w nowo powstałym Uniwersytecie Łódzkim. Kapuścińska umieszcza Alinę u znajomych,

nie zdradzając im jej tożsamości. Znajomi, których nazwiska Margolis-Edelman w swoich wspomnieniach nie podaje, są bowiem antysemitami – ich jedyna reakcja na łunę nad płonąącym gettem to ubolewanie, że nie ma tam Tuwima.

Alina Margolis w czasie powstania wiosną 1943 roku odwiedziła Plac Krasińskich. Słuchała komentarzy gapiów. Po latach napisała: „Tego, co mówili, nie powtórzę. Nie chcę powtórzyć”. Dodała: „Tam pod murem, po raz pierwszy w życiu poczułam się naprawdę Żydówką. I że już na zawsze, do śmierci, zostanę z tymi żywcem zwęglonymi, z tymi uduszonymi, zagazowanymi w schronach, z tymi, co walczyli i zginęli, bo nie mogli nie zginąć, z tymi, których losu nie podzieliłam”.

Alina Margolis została łączniczką Żydowskiej Organizacji Bojowej (ŻOB). W czasie powstania warszawskiego była sanitariuszką. Otrzymała za to Krzyż Walecznych. Ponownie też spotkała się z matką. Po upadku powstania w 1944 roku wraz z konwojem Czerwonego Krzyża ewakuowała z ruin stolicy grupę bojowców z ŻOB-u, w tym Marka Edelmana. Jak wspominała po latach, „wychudzony i brudny wyglądał jak wzorzec Żyda”. Kiedy mijali posterunek Niemców, jeden z nich chciał odsłonić twarz leżącego na noszach Edelmana. Uczestniczka konwoju krzyknęła: „Achtung! Fleckfieber!” – i to prawdopodobnie uratowało Edelmanowi życie. Niemiecki żołnierz bał się tyfusu.

Po wojnie Alina Margolis wróciła do Łodzi, do domu przy ul. Zelwerowicza. Dołączył do niej Marek Edelman. „Gdzieś na wiosnę 1945 roku postanowiono, że będę studiował medycynę” – wspominał. Medycynę na nowo powstałej łódzkiej uczelni studiowała oczywiście także Alina, wtedy już Margolis-Edelman. „W Polsce pamięta się głównie o Marku Edelmanie, to jest nasz bohater. Pomija się fakt, że w pierwszych latach, kiedy po wojnie zdobywał on swoją pozycję, ona stała u jego boku, inteligentna, znająca języki, mająca duże kompetencje społeczne, córka profesorów medycyny” – mówi mi jedna z osób związanych z rodziną. Choć wojna przerwała na kilka lat proces jej kształcenia, to zaraz po wyzwoleniu szybko to nadrobiła, w czym wspierała ją matka. Warto pamiętać, że za obrazem Marka Edelmana – polsko-żydowskiego inteligenta – stoi Alina, która ten obraz pomogła zbudować i niosła go przez kolejne lata.

Po zdobyciu dyplomu Margolis-Edelman pracowała jako pediatra m.in. w II Klinice Pediatrycznej w Łodzi. Opiekowała się dziećmi chorymi na cukrzycę. Z jej inicjatywy założono poradnię dla dzieci z chorobami nerek oraz ośrodek leczenia cukrzycy dziecięcej w Rabce i Kołobrzegu. „Była wciąż zajęta – wspomina syn Edelmanów Aleksander. – Albo organizowała poradnie i kolonie dla dzieci cukrzycowych, albo poradnie nerkowe dla dzieci, albo pisała prace naukowe i wyjeżdżała na stypendia”.

Kres jej kariery w Polsce położyła antysemitka kampania rozpętana w 1968 roku. Dwukrotnie odrzuciono jej rozprawę habilitacyjną. Po długich namysłach zdecydowała się wyjechać do Francji. Jak twierdziła, głównie ze względu na przykrości, których doznawały



CENTRUM DIALOGU IM. MARKA EDELMANA

Plakat Roku Aliny Margolis-Edelman

jej dzieci: Aleksander i Anna. „Mąż powiedział, że trzeba je ratować tak, jak ratowało się dzieci z getta” – opowiadała w 1998 roku w wywiadzie dla „Tygła Kultury”. On sam został jednak w Polsce.

Na emigracji

We Francji Margolis-Edelman budowała karierę od zera, zaczynając od monotonnej pracy laborantki analizującej krew szczurów i zarabiając na utrzymanie dodatkowymi dyżurami. Wspominała ten okres jako najgorszy w życiu. Pozycję zawodową odzyskała po kilku latach, z czasem została szefową oddziału hemodializy, lecz w tym czasie jej łódzcy koledzy zdążyli już zdobyć profesury. Prawie trzydzieści lat po wyjeździe z Polski mówiła, że nie podjęłaby drugi raz tej decyzji. „Gdyby nie wnuki, myślę, że bym wróciła. Teraz jestem nigdzie. Ani tu, ani tam”.

Gdy już odzyskała prawo do wykonywania zawodu, związała się z Lekarzami bez Granic. Zaś w 1980 roku, kiedy organizację opuścił Bernard Kouchner, współtworzyła z nim organizację Lekarze Świata. Wykorzystywała urlopy na wyjazdy w zapalne miejsca. Pracowała m.in. w Wietnamie, gdzie wyławiała z morza uchodźców (określa się ich mianem *boat people*), w Czadzie, Salwadorze, Bośni i Hercegowinie (na Bałkanach współtworzyła ośrodek pomocy ofiarom gwałtów). Sama tłumaczyła swoje zaangażowanie w ten sposób: „Uświadomiłam sobie wtedy [pod murem płonącego getta], że moje życie nie jest najważniejsze. Kiedy widzi się kolumny ludzi idących na pewną śmierć, ludzi palących się żywcem, własne życie przestaje być dla człowieka najwyższą wartością. Dlatego już nigdy się nie bałam, gdy później jeździłam do krajów ogarniętych wojną. Dostałam już od Pana Boga swoją porcję dobrego. Przetrawiałam getto, nie poszłam do gazu, założyłam rodzinę. Mogę pracować, moje dzieci są zdrowe. Czy to nie wystarczy?”.

W czasie stanu wojennego Alina Margolis-Edelman pomagała opozycji. Organizowała także staże dla polskich lekarzy oraz pomoc dla osób, które w Polsce nie mogły liczyć na skuteczne leczenie. Wysyłała dary dla polskich szpitali. Pełniła funkcję prezesa Association Cahiers Littéraires, pierwszego wydawcy kwartalnika „Zeszyty Literackie”. W 1991 roku założyła w Polsce Fundację Dzieci Niczyje (dziś nosi ona nazwę Dajemy Dzieciom Siłę), w której władzach zasiadała do śmierci.

Wydała wreszcie wspomnienia, czyli *Alę z Elementarza* – oszczędny w słowach obraz dzieciństwa, rodziny, a przede wszystkim okupacji – życia w getcie warszawskim i dramatycznych momentów z jego historii, a także ukrywania się po „stronie aryjskiej”. To lektura krótka, ale bardzo treściwa i burząca mity. Alina Margolis-Edelman opisała m.in. polski antysemityzm, nie oszczędzając też polskiego podziemia, w którym ujawnienie żydowskiego pochodzenia mogło być śmiertelnie niebezpieczne. Kilukrotnie wspominała też o swoim podziwieniu wobec matki i jej postawy w czasie wojny oraz o tym, że własne wybory, np. samotne wyjście z getta, ocenia dużo surowiej.

Alina Margolis-Edelman zmarła w Paryżu w 2008 roku. Trzy lata później Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę zaczęła przyznawać nagrodę jej imienia. Trafia ona do osób zasłużonych w pomocy krzywdzonym dzieciom.

W 2022 roku, z okazji stulecia urodzin Aliny Margolis-Edelman, Centrum Dialogu im. Marka Edelmana w Łodzi planuje m.in. wystawę dla dzieci i dorosłych *Elementarz empatii*. Zostanie ona otwarta jesienią. Jej kuratorki to Kamila Majchrzycka-Szymańska, Anna Mrozińska-Szmajda i Ola Shaya. Poza zaprezentowaniem biografii patronki roku, zwanej Superbohaterką, wystawa mówi o różnych kontekstach pojęcia „empatia”. Będzie jej towarzyszył bogaty program edukacyjny.

Inicjatorem Roku Aliny Margolis-Edelman w Łodzi było Centrum Dialogu im. Marka Edelmana. Koncepcję podchwycili miejscy radni. Skąd taki pomysł? „Alina Margolis była piękną postacią z życiorysem nadającym się na świetny film biograficzny. Jeden z moich rozmówców powiedział mi, że Alina cierpiała na permanentne nienasycenie – tłumaczy Joanna Podolska-Płocka, dyrektorka Centrum Dialogu. – Ale moim zdaniem tym nienasyceniem nie było poszukiwanie nowych bodźców, ale potrzeba niesienia pomocy wszystkim, którzy byli krzywdzeni: chorym, cierpiącym, maltretowanym, samotnym, zwłaszcza dzieciom. Ona szczerze wierzyła w ideę ulepszenia świata i konieczność natychmiastowego reagowania na zło. Agnieszka Holland powiedziała, że Alina miała radary nastawione na tych, którzy byli w potrzebie, wręcz ich wyszukiwała i jeździła w różne zakątki świata, by nieść pomoc. To dlatego uznaliśmy, że przy okazji setnych urodzin tej niezwykłej Lekarki Świata spróbujemy uczynić z niej bohaterkę naszej wystawy, która ma uczyć najmłodszych empatii. Inną sprawą jest, że Alina Margolis-Edelman w swojej misji była wręcz bezwzględna – dodaje. – Zapominała o swoich potrzebach, a czasami o potrzebach swoich bliskich. Ale to także pretekst do ważnej rozmowy o granicach empatii. To była niezwykła, silna kobieta, która jednak miała swoje słabości, śmieszności i wady. Jak każdy z nas. Jak każda z nas”. ■

Ewa Kamińska-Bużatek – animatorka kultury, prezeska Fundacji Łódzki Szlak Kobiet. Studentka judaistyki na Uniwersytecie Warszawskim.

Portret konny Berka Joselewicza z wileńskiej litografii Ch. Łaskowa

URSZULA DRAGOŃSKA

„Zszedł z tego świata śmiercią prawdziwego rycerza [...]. Pierwszy z Żydów polskich otworzył drogę honoru swoim jednowiercom i dał piękny z siebie przykład waleczności” – tak o sportretowanym na rycinie Berku Joselewicza napisano po jego śmierci w bitwie pod Kockiem w 1809 roku na łamach „Gazety Warszawskiej”. Pamięć o dowódcy żydowskiego pułku z czasów Insurekcji Kościuszkowskiej ożywała regularnie w okresach wzmożonej nadziei na odzyskanie niepodległości. Było tak przed wybuchem powstania styczniowego i w latach poprzedzających I wojnę światową. O Berku pisano porywające biografie, jego historia inspirowała dzieła literackie, batalistyczne płótna i ludowe przyspiewki. Tymczasem pochodzenie Joselewicza w żaden sposób nie predestynowało go do kariery wojskiej, która zapewniła mu miejsce w historii.

Joselewicz urodził się w 1764 roku w ortodoksyjnej, żydowskiej rodzinie z Kretynki nieopodal Połangi na Litwie, przyuczony był do pracy w jednej z tradycyjnie żydowskich profesji – handlu. Został faktorem biskupa wileńskiego Ignacego Massalskiego, dla którego odbywał podróże do Belgii i Francji. Trafił tam w okresie rewolucji 1789 roku, co nie pozostało bez znaczenia dla jego dalszych wyborów życiowych. Usamodzielił się, ożenił i osiadł w Warszawie, trudniąc się handlem końmi i aprowizacją wojska. Przełom w jego życiu przyniosły wydarzenia 1794 roku i przystąpienie do walki u boku Kościuszki na czele pułku żydowskiego, którego powołanie zainicjował i współfinansował. Broniąc warszawskiej Pragi, Berek walczył o wolność – tę polską, ale i żydowską – zachęcony równościowymi ideami dowódcy powstania. Doskonały jeździec cechujący się odwagą zadał kłam przekonaniu, że Żydzi nie nadają się do służby wojskowej, a jednocześnie nie wyrzekał się swej wiary i tradycji. Po upadku powstania walczył dalej w różnych kampaniach: we Włoszech

u boku Henryka Dąbrowskiego, pod Austerlitz i znów na polskich polach, gdzie ostatecznie poległ od ciosu austriackiego huzara.

Wizerunek Berka Joselewicza wprowadził do polskiej ikonografii bohaterów narodowych Juliusz Kossak. Spod pędzla artysty wyszedł odwzorowany na litografii portret konny, ale także popiersie i scena walki pod Kockiem. Kossak, doskonale obeznany z epoką napoleońską, z wiernością odtworzył szczegóły umundurowania 5. pułku strzelców konnych. Wyimaginowany obraz twarzy Joselewicza uzupełnił sumiastym wąsem, a na jego piersi umieścił order Legii Honorowej przyznany bohaterowi w 1807 roku. Na litografii z Wydawnictwa Łaskowa wygląda on raczej jak Krzyż Virtuti Militari, który żołnierz otrzymał rok później. Akwarelowy, konny portret Joselewicza powstał w 1861 roku, kiedy to pamięć o nim odżyła na fali manifestacji na ulicach Warszawy, które poprzedzały wybuch powstania styczniowego. Uczestniczyła w nich wspólnie ludność polska i żydowska, a także sam Kossak, mieszkający tu od kilku lat. Na oczach malarza rozegrały się tragiczne wydarzenia kwietniowe na Placu Zamkowym, podczas których poległo około dwustu osób. To wtedy od rosyjskiej kuli zginął żydowski uczeń, gimnazjalista Michał Landy, który podniósł krzyż upuszczony przez zastrzelonego chwilę wcześniej katolickiego księdza. Dramatyczne zajście zapewne skłoniło Kossaka do podjęcia tematu innego żydowskiego uczestnika polskich zrywów niepodległościowych z poprzedniego wieku. Mimo wzrastającej cenzury, portret konny Berka rozpowszechniano za pomocą licznych odbitek graficznych.

Czy to wtedy powstała prezentowana litografia? Drukarstwo wileńskie po powstaniu styczniowym przeżywało niezwykle trudne czasy. Polskojęzyczne wydawnictwa, działające wbrew zamiarom rusyfikacyjnym władz carskich, powoli zamierały lub przestawiały swą produkcję na rosyjską. W 1866 roku wprowadzono nie tylko zakaz drukowania w języku polskim, ale w ogóle posiadania polskich czcionek.



ZBIORY ŻIH

**Litografia przedstawiająca
Berka Joselewicza, odbitka
na jedwabiu**

Sytuacja odmieniła się dopiero po rewolucji 1905 roku, kiedy rosyjskie naciski zmalały. Ograniczone restrykcje pozwoliły na swobodniejszą działalność zakładów tłoczących w języku polskim, litewskim i hebrajskim. Jednym z nich było Wydawnictwo Litograficzne Chanon Łaskow i Syn mieszczące się przy ulicy Subocz 9. Choć Ludwik Abramowicz w *Czterech wiekach drukarstwa w Wilnie* (Wilno 1925) wymienia je dopiero wśród drukarni czynnych w 1907 roku, to na podstawie reklam zamieszczonych w ówczesnych informatorach i prasie możemy określić datę jego powstania na 1894 rok. Chanon Łaskow był cenionym malarzem i litografem żydowskiego pochodzenia, wielokrotnie nagradzanym za swe prace. Widoczna na odbitce sygnatura „Rys. Ch.Ł.” wskazuje, że i tym razem własnoręcznie wykonał przerys wzorcowej kompozycji Kossaka. Około 1925 roku Łaskow wydał druk muzyczny *Marsz Berek Joselewicz...* autorstwa wileńskiego skrzypka Arona Zamsztejgmana. Na okładce umieścił ten sam portret konny Joselewicza z uproszczonym tłem. Można więc przypuszczać, że obie litografie powstały w zbliżonym czasie. Tym bardziej, że w dwudziestoleciu międzywojennym postać Berka znów była głośno przywoływana w kontekście wspólnej, polsko-żydowskiej pracy nad odbudową odzyskanego kraju.

W litografii zwraca uwagę jeszcze jeden, nietypowy element – jedwabne podłoże. Odbitki graficzne przeważnie drukowane były na papierze – materiale powszechnie dostępnym. Znane są jednak przypadki stosowania w tym celu dużo droższych tkanin i pergaminów. Wydrukowany na kosztownym jedwabiu barwny portret konny Berka Joselewicza, umieszczony w rzeźbionej, drewnianej ramie za szkłem, wizualnie naśladował dzieło malarskie. W tak dekoracyjnej oprawie z pewnością przeznaczony był do powieszenia w miejscu eksponowanym. Z zamieszczonej w „Przeglądzie Artystycznym” z 1925 roku relacji z wileńskiej wystawy rzemiosła i sztuki żydowskiej, dowiadujemy się, że Łaskow był w zakresie odbijania litografii na tkaninie doświadczonym i cenionym specjalistą. Do jego wiedzy odwoływały się nawet zakłady warszawskie. W trakcie wystawy, w specjalnie wydzielonym pawilonie, demonstrował swoje umiejętności, drukując na oczach widzów portrety na jedwabiu. Być może był wśród nich i ten przedstawiający Berka Joselewicza. ■

Urszula Dragońska – historyczka sztuki i kuratorka pracująca w Gabinetie Rycin Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie.

KULTURALNA

BARDZO

KRYTYKA

SS-Sonderkommando Sobibor Niemiecki obóz zagłady 1942–1943

*O wystawie stałej
w Muzeum i Miejscu
Pamięci w Sobiborze*

BARTOSZ BORYS

Jesienią 2020 roku w Muzeum i Miejscu Pamięci w Sobiborze została otwarta nowa wystawa stała *SS-Sonderkommando Sobibor. Niemiecki obóz zagłady 1942–1943*. Po kilkudziesięciu latach od zakończenia wojny miejsce to doczekało się stałej ekspozycji, która przybliży funkcjonowanie obozu w oparciu o aktualny stan wiedzy oraz upamiętnia jego ofiary.

Sobibór był jednym z trzech obozów zagłady zbudowanych przez Niemców w ramach Akcji Reinhardt. Między wiosną 1942 a październikiem 1943 roku zamordowano tu ok. 180 000 Żydów z Polski i kilku krajów okupowanej przez Niemców Europy, przede wszystkim z Holandii i Słowacji. Koniec obozu przyniosło powstanie, które więźniowie wywołali 14 października 1943 roku. Zrywowi przewodzili Lejb Feldhendler oraz Aleksander Peczerski. Dzięki powstaniu z obozu uciekła część więźniów, a wojnę przeżyło około 50 z nich.

Po tym wydarzeniu Niemcy do końca 1943 roku zlikwidowali obóz i dużą część jego pozostałości. Pozostałości te w latach 1944–1946 były wykorzystywane przez ludność ukraińską z Lubelszczyzny, która oczekiwała na przesiedlenie do ZSRR w związku ze zmianą granic Polski i polsko-radzieckim porozumieniem o wymianie ludności.

Pierwsze inicjatywy upamiętnienia obozu zagłady i jego ofiar miały miejsce w połowie lat 60. pod wpływem trwającego w Hagen w Niemczech Zachodnich procesu załogi obozowej. Na karę kilkuletniego więzienia skazano wtedy pięciu SS-manów, a szóstego – Karla Frenzela – na dożywotnie pozbawienie wolności.

Autorem pierwszej koncepcji zagospodarowania terenu byłego obozu w Sobiborze był w 1965 roku inżynier Romuald Dylewski. Powstał wtedy pomnik (autorstwa Mieczysława Weltera) przedstawiający kobietę z dzieckiem przy kolumnie, która miała nawiązywać do komory gazowej. W miejscu palenia i zakopywania ciał osób zamordowanych usypano pamiątkowy kopiec. Umieszczona na miejscu tablica upamiętniała – według ówczesnego stanu wiedzy – 250 000 ofiar Sobiboru.

W 1993 roku, w 50. rocznicę powstania więźniów, utworzono instytucję towarzyszącą upamiętnieniom – Muzeum Byłego Obozu Zagłady, które było oddziałem zamiejscowym Muzeum Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego. Dekadę później z inicjatywy organizacji społecznych z Polski, Niemiec i Holandii utworzono „Aleję Pamięci”.

Kluczowe zmiany nastąpiły jednak dopiero w efekcie przekształcenia z 2012 roku, gdy Sobibór stał się oddziałem Państwowego Muzeum na Majdanku. Powstał również Komitet Sterujący złożony z przedstawicieli Polski, Holandii, Słowacji i Izraela, który doprowadził do zorganizowania konkursu architektonicznego na nową siedzibę muzeum. Działaniom tym towarzyszyły prace archeologiczne zakończone w 2017 roku.

Najważniejszym rezultatem podjętych wysiłków było powstanie siedziby muzeum z główną ekspozycją, salą do zajęć, księgarnią oraz biurami dla pracowników oraz otwarcie wystawy stałej w październiku 2020 roku. Nie zakończyło to prac na terenie byłego obozu. Obecnie trwają działania mające na celu wyeksponowanie obrysu komór gazowych i renowację pomnika.

Budowę muzeum sfinansowano dzięki dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, natomiast wystawę sfinansowano dzięki środkom niemieckim.

Wystawa jest w pewnym sensie realizacją pojawiającego się we wspomnieniach ocalałych więźniów apelu Aleksandra Peczerskiego, jednego z przywódców powstania, który miał powiedzieć: „Ci z Was, którzy przeżyją, niech dadzą świadectwo. Niech świat się dowie, co się tutaj działo”. Wystawa jest też kulminacją wielu lat pracy, by to miejsce godnie upamiętnić.

Całość wystawy składa się z pięciu części: 1. Zagłada Żydów w okupowanej Europie; 2. Deportacje do Sobiboru, 3. Obóz – organizacja i funkcjonowanie, 4. Opór więźniów i ich walka o przetrwanie, 5. Miejsce zbrodni – miejsce pamięci. Jest to wystawa narracyjna, ułożona chronologicznie, zdecydowanie minimalistyczna i oszczędnie



Gablota z przedmiotami należącymi do ofiar niemieckiego obozu zagłady w Sobiborze. Przedmioty zostały odnalezione w czasie prac archeologicznych prowadzonych na terenie poobozowym

korzystająca z multimedii, co pozwala skupić się na treści. Kolorystyka jest zróżnicowana, ale ograniczona do kilku odcieni, stonowana. Materiały, z których stworzono wystawę, również są ograniczone, to przede wszystkim drewno, szkło i beton.

W centralnej części znajduje się 25-metrowa gablota, będąca osią wystawy. Umieszczono w niej około 700 obiektów, które odnaleziono w czasie wykopalisk na terenie poobozowym prowadzonych od 2000 roku. Obiekty są bardzo różnorodne, w większości są to należące do ofiar przedmioty osobiste: biżuteria, klucze, przypinki, okulary czy miski. Tylko niektóre artefakty, przede wszystkim należące do osób z transportów z Holandii, Francji czy Słowacji, można przypisać do konkretnych osób, gdyż Niemcy prowadzili szczegółową ewidencję tych transportów. Takiej dokumentacji nie mamy w przypadku transportów polskich Żydów. Jednym z takich obiektów jest srebrna zawieszka należąca do Karoline Cohn, która otrzymała ją od rodziców. Osoby jadące do Sobiboru z Europy Zachodniej myślały, że jadą do pracy, stąd rodzice nierzadko zabezpieczali swoje dzieci na wypadek rozłąki.

Według kuratora wystawy, Tomasza Kranza, w gablocie można „doszukiwać się symboliki *Schlau-chu* – ostatniej drogi ofiar. Idąc bowiem na śmierć, niektórzy z deportowanych gubili lub porzucali w tym miejscu kosztowności i pamiątki, które próbowali zachować do ostatniej chwili”.

Poza obiektami z wykopalisk na wystawie znajduje się również bogaty materiał ikonograficzny w postaci zdjęć, a także różnorodne teksty źródłowe. Niezwykle cenne są nieznane do niedawna zdjęcia Johanna Niemanna, zastępcy komendanta obozu Franza Reichleitnera.

Zagłada i funkcjonowanie obozu są wpisane w szerszy kontekst Akcji Reinhardt jako części Zagłady Żydów europejskich. Jak w katalogu do wystawy informuje kurator Tomasz Kranz: „Ekspozycja ma charakter dokumentalny, stawia więc na pierwszym planie źródła – muzealia, dokumenty, zdjęcia i świadectwa ocalałych. [...] Wystawa ogranicza się zatem do przekazu najważniejszych faktów”.

Na uwagę zasługuje makieta obozu, a także interesujące multimedialne rozwiązanie pokazujące transporty Żydów z okupowanej przez Niemców Europy do obozu zagłady w Sobiborze. Pozwala uświadomić sobie, jaką rolę w tym procesie odgrywała logistyka, ale też współpraca różnych urzędów – zarówno SS, jak i cywilnych – w III Rzeszy i okupowanych krajach europejskich.

Na końcu znajdują się nagrania filmowe z 36 relacjami ocalałych z Sobiboru. Relacje ofiar znajdują się też w innych częściach wystawy, nie będąc jednak na pierwszym planie, bowiem ukryte są w wysuwanych szufladach. W samej narracji autorzy wystawy poświęcają miejsce również sprawcom, nie pomijając ich, starają się opisać ich pochodzenie, profil społeczny oraz sam skład załogi obozowej. Umożliwia to całościową refleksję nad funkcjonowaniem obozu zagłady, w której



Teren muzeum w Sobiborze

jest miejsce na empatię wobec ofiar, ale też na przekazanie rzetelnej wiedzy o sprawcach.

W zamyśle twórców wystawa ma towarzyszyć samemu miejscu pamięci. Jest to pewne wyzwanie, które towarzyszy upamiętnieniom w takich miejscach jak Sobibór, Bełżec czy Treblinka, w których nie ma pozostałości po infrastrukturze obozowej w skali, w jakiej ma to miejsce na terenie byłego obozu Auschwitz-Birkenau. Tę rolę Muzeum i Miejsca Pamięci w Sobiborze będzie można ocenić dopiero za jakiś czas – wciąż trwają jeszcze (w czerwcu 2022 roku) działania na terenie polany ofiar. ■

Bartosz Borys – kierownik Działu Edukacji w w ŻIH. Historyk.

Ameryka bez aniołów, czyli czekanie na Jom Kipur

Ishbel Szatrawska, *Żywot i śmierć pana Hersha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia*,
Wydawnictwo Cyranka, 2022

PIOTR OCZKO

Z pisaniem o książkach takich, jak ta, jest pewien problem. Bardzo trudno omówić je dokładnie i w należnych im proporcjach bez ujawniania treści, to zaś pozbawiłoby przyszłe czytelniczki i czytelników przyjemności, suspense, a w tym przypadku może nawet i *katharsis*. Zrobię, co mogę, wpierw jednak kilka słów o autorce. Pozwoli to od razu umieścić recenzowany dramat, bo z tym rodzajem literackim mamy do czynienia, w niezbędnych i naświetlających lekturę kontekstach. Ishbel Szatrawska urodziła się w Olsztynie – gdy zajrzemy do mediów społecznościowych, dowiemy się, że to dawny Allenstein. Właśnie Ostpreußen, Prusy Wschodnie, a nie współczesną Warmię i Mazury, Autorka traktuje jako swoją mentalną ojczyznę. To outsiderka wychowana na styku kultur: niemieckiej, polskiej i żydowskiej. Na Uniwersytecie Jagiellońskim ukończyła teatrologię, studiowała również filmoznawstwo, amerykanistykę i reżyserię filmową. Wspominam o tym nie bez powodu: świetna znajomość konwencji teatralnych (Brechtowskie zaangażowanie polityczne i łączenie stylistycznych rejestrów; nawiązania do starożytnych greckich dramaturgów) oraz filmowych („tarantinowskie” zwroty akcji, szybkie dialogi i pointy), żartobliwa, postmodernistyczna gra nimi, a także

intelektualne zaplecze są w przypadku *Żywota i śmierci pana Hersha Libkina* ewidentne, choć nienachalne, przekazywane w subtelnym, niemal niedostrzegalnym wymiarze. Wreszcie, Szatrawska bierze od lat udział w życiu żydowskiej społeczności Krakowa: pracuje w Żydowskim Muzeum Galicja, gdzie włącza się w prace kuratorskie, współpracuje z miejscowym oddziałem JCC i uczestniczy w projektach – tu wymienię tylko polsko-amerykańsko-izraelski „Kol Isha”, którego rezultatem była publikacja feministycznej w duchu *Hagady kobiet*. Nie dziwią więc zawarte w jej dramacie fragmenty w jidysz, hebrajskie słowa, judaistyczny sznyt, a przede wszystkim tematyka chyba oczywista: Zagłada. W pełni świadom, że posługuję się przebrzmiałym pozytywistycznym konceptem, zaryzykuję jednak stwierdzenie – tylko w podobnym biograficznym zderzeniu kultur, tożsamości, języków, lektur, osobistych i intelektualnych doświadczeń mógł wybuchnąć meteor, czyli dramat taki jak *Hersh*.

Żywot... to książkowy debiut autorki, publikującej jednak wcześniej sztuki na łamach „Dialogu” i w wydanej przez Narodowy Stary Teatr w Krakowie e-antologii *Nasz głos*, laureatki konkursu Dramatopisanie (warszawski Instytut Teatralny), co więcej, finalistki Nagrody Gdynia w kategorii dramat (za kontestatorski *Totentanz. Czarna noc, czarna śmierć*). Dodam, że samo ukazanie się dramatu jako książki jest dziś ewenementem – wydawcy rzadko kiedy podejmują takie ryzyko.

Tytułowy, fikcyjny bohater sztuki Hersz Libkin (pisownię imienia zmienia potem na bardziej „angielską”), ocalały z Zagłady mieszkańców łódzkiego getta i więzień Auschwitz w 1947 roku przybywa do Nowego Jorku. Powodów emigracji możemy się domyślać: stracił wszystkich, których kochał, nie może pogodzić się z wojennymi polskimi realiami, ucieka też przed samym sobą. Libkin dźwiga brzemie miłości i zdrady, doświadczenie sytuacji granicznej, wreszcie tajemnicę, której celowo nie ujawnię. Zrozumiał, że nie nadaje się na sprzedawcę butów na Lower East Side, po opanowaniu podstaw angielskiego wyrusza przez całe Stany do Hollywood, by spełnić marzenie o zostaniu aktorem (kiedyś już grywał w amatorskich teatrzykach, zapewne w getcie). Niewykluczone też, że szuka zajęcia, które pozwoli mu na nakładanie raz po raz masek, udawanie życia innych i zapomnienie o tym, co się stało. Marzenia te świetnie oddaje okładka projektu Maksxa Bereskiego – przypominający Clarka Gable Hersh trzyma na niej znak wytwórni Metro-Goldwyn-Mayer. Tyle tylko, że lew nie ryczy na niej dumnie w złotej aureoli, ale zdaje się w rozpacz krzyknąć z za tęczy krat. Marzenia się nie spełnią. Libkin dostanie tylko angaż statysty w westernie, w którym ma zagrać syna indiańskiego wodza. Na planie spotka Humphreya Bogarta, Lauren Bacall (właściwie Betty Joan Perske, córkę żydowskich emigrantów) oraz niejakiego Johna Paina, konserwatyście, maczystę, antysemitę i homofoba, w którym czytelnicy od razu chyba rozpoznają westernowego gwiazdora, Johna Wayne’a. Niesławny, kompromitujący aktora prostacki wywiad, którego udzielił „Playboyowi” w 1971 roku, Szatrawska antydatuje i parafrazuje zresztą w scenie 9. Obsada filmu jest w większości żydowska, zaś statyści to głównie ocalańcy z Europy, pada więc pomysł, żeby swoje „indiańskie” kwestie wypowiadali oni w jidysz – przecież i tak nikt tego nie zauważy. Autorka wykorzystuje tutaj nieporozumienie, które zaczęło funkcjonować jako historyczna prawda. Otóż w *Płonących siodłach*, parodii westernu z 1974 roku, reżyser Mel Brooks (właściwie Melvin Kaminsky) umieścił postać indiańskiego wodza mówiącego w jidysz, którego sam zagrał (znał język z domu). Przyczyniło się to do powstania mitu, jakoby żydowscy aktorzy amerykańscy zwykli niegdyś używać jidysz w sytuacjach, gdy odgrywali bohaterów mających mówić w nieznanym widzom językach obcych.

Z kariery filmowej nic nie wyjdzie. Hersha czekają zderzenie z machiną makkartyzmu, nieszczęśliwe małżeństwo (urodzą się w nim dwie córki, Hannah i Lois), rozwód, seria życiowych niepowodzeń i alkoholizm. Pod koniec życia nagra w Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie wywiad, w którym wreszcie zdecyduje się na powiedzenie o sobie prawdy.

Żywot i śmierć... można potraktować jako swoisty manifest artystyczny autorki stawiającej (wbrew temu, co widzimy w polskim teatrze) na tekst, bohatera, fabułę, logikę zdarzeń, linearności akcji i sensów. Tyle że u Szatrawskiej sensy i fabuła często rwą się, pojawiają się niejasne retrospekcje, oniryczne lub narkotyczne

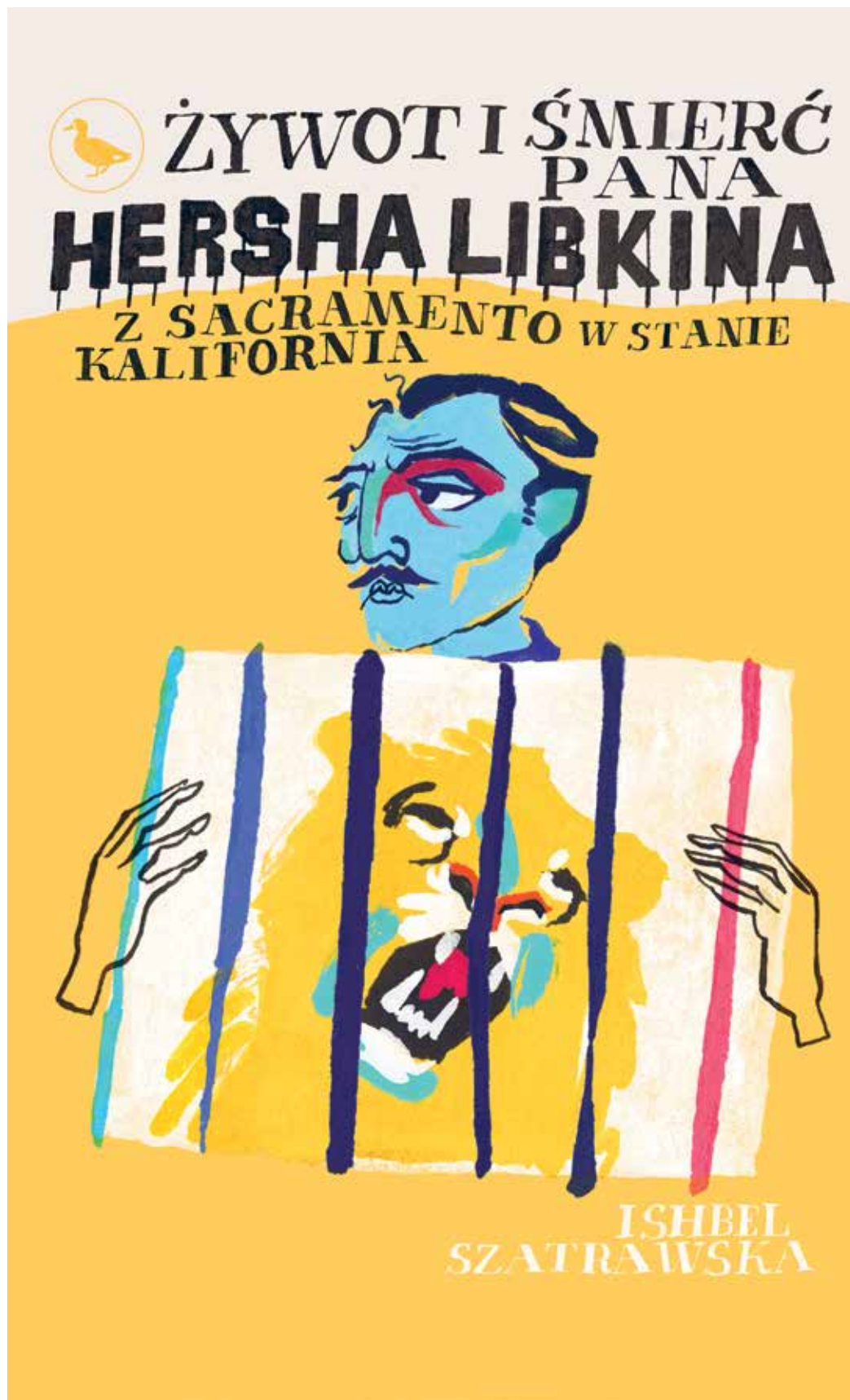
wizje i przedakcje – *Vorgeschichten*. Nie bez powodu, jak sądzę. Sztuka była pisana pierwotnie na konkurs dramatyczny zorganizowany przez Teatr Żydowski w Warszawie, którego tematem wiodącym miała być pamięć. Autorka, i owszem, bierze ją na warsztat, tyle że przekornie rekonstruuje nie pamięć zbiorową, a pamięć jednostki, starając się pokazać jej mechanizmy – z upływem lat starzejący się Hersh coraz częściej wraca do przeszłości i traum, przez co wydarzenia z młodości zaczynają się rysować przed nami coraz wyraźniej.

Czy *Żywot...* to hermetyczny „dramat żydowski”? I tak, i nie, można go przecież czytać na wielu płaszczyznach, na przykład jako opowieść o emigracji, antysemityzmie, miłości i przegranej. Znajomość kulturowych i historycznych kodów pozwoli jednak wybuchnąć śmiechem – przez łzy – przy kwestii Franka komentującego Hershową nieznajomość amerykańskich realiów: „Co on? W piwnicy się chował?”. Wydaje mi się również, że interpretacyjny klucz do dramatu dostępny jest tak naprawdę nielicznym. To trzecia księga Tory, rozdział 16, wersety 7–10:

I weźmie dwa kozły i postawi je Bogiem, u wejścia Namiotu Wyznaczonych Czasów. I położy Aharon losy na dwa kozły – jeden los, [na którym jest napis:] „dla Boga”, a drugi los: „na [zrzuconie] z wysokiego urwiska”. I przybliży Aharon kozła przeznaczonego losem „dla Boga”, i przeznaczy go na oddanie za grzech [chata]. A kozła przeznaczonego losem „na [zrzuconie] z wysokiego urwiska” postawi przed Bogiem, żeby dokonać przebłagania nad nim, aby go wysłać na wysokie urwisko, [na śmierć], na pustynię. (za: *Tora Pardes Lauder*, tłum. Sacha Pecaric).

Kozły w sztuce są przecież dwa: jeden – Dawid – zostanie złożony w ofierze i umrze w wychodzącym z Auschwitz Marszu Śmierci, drugi zaś – Hersh – przeżyje i zostanie zesłany na pustynię, nie tylko tę z hollywoodzkiego planu filmowego, lecz także pustynię duchową i kulturową (obraz Stanów w książce Szatrawskiej jest aż nadto krytyczny). Co więcej, przywołany powyżej cytat z Tory to moment, w którym Mojżesz ustanawia przebłagalne, pokutne święto Jom Kipur. Nie bez powodu chyba w przedostatniej scenie indiański Wódz (figura Absolutu? narkotyczna wizja?) pyta bohatera: „Więc pan się jednak śpieszy na Jom Kipur?”.

Dotychczasowi recenzenci *Żywota...* chyba nie do końca zdawali sobie sprawę z wpisanego w dramat biblijnego kontekstu kozła ofiarnego. Justyna Sobolewska na łamach „Polityki” (20/2022) pisała choćby, że publicystyczna „próba rozbijania wszystkich stereotypów i odniesienia się do naszych współczesnych nagoniek sprawia miejscami wrażenie zbytnich uproszczeń”. Chodzi bez wątpienia o scenę, w której rozmazujące sobie teatralny makijaż córki Hersha w dwuosobowym „greckim chórze” prowadzą oskarżycielski dialog. Co więcej, jest to klasyczna arystofanesowska parabaza, w całym jej bieżącym, polityczno-społecznym aspekcie, a wymowy tego fragmentu nie sposób zrozumieć



Oktadka książki

bez rozszyfrowania intertekstualnego chwytu. Obrywają tutaj wszyscy (zwykle łatwi do zidentyfikowania), którzy na to zasłużyli: antysemita wszelkiej maści, ci powtarzający bezmyślnie klisze („Żyd jako projekt. Żyd-koncepcja. Żyd-symbol”), hipokryci, homofobowie, Kościół, rządzący, a nawet Tadeusz Słobodzianek, który w *Naszej klasie* umieścił skądinąd podły i oparty na antysemitycznych stereotypach wątek gwałconej w pogromie i przeżywającej przy tym rozkosz Żydówki. Teraz zapewne autorka wspomnieć by też mogła o rozbudowanym seksualnie izraelskim młodzieńcu i gwałcie na żydowskiej piękności z *Przewozu* Andrzeja Stasiuka.

Wspomniane w parabazie Instytucje, takie jak religia i państwo, tworzone przez nie systemy (społeczne, polityczne, wyznaniowe i kulturowe, w tym literatura) oraz będące ich konsekwencją opresje i uprzedzenia są podstawą i gwarantem ciągłości istnienia kozłów ofiarnych, które uosabia tytułowy bohater. Instytucje cechuje długie, niemal odwieczne trwanie, a ich przejawy obserwujemy z dnia na dzień, nie tylko zresztą w Polsce. Znamienny jest fakt, że indiański „Wódz – Absolut” mówi Hershowi, że za najmądrzejszy w Torze uznaje moment, kiedy na końcu Izraelici patrzą na Kanaan, ale do niego nie wchodzi. W Tanachu, już w Ziemi Obiecanej, powstanie bowiem państwo – pojawiają się tyrani, nieszczęścia i wojny. Nie o publicystykę więc chodzi, a o kwestie uniwersalne i fundamentalne.

Czy Szatrawska daje jakąś nadzieję na zmianę? Jeśli tak, to, jak sądzę, utopijną i w gruncie rzeczy pesymistyczną. W ostatniej, przejmującej scenie córki Hersha rozmontowują scenografię. Zapadają ciemność i cisza. Znika Instytucja (czytaj: świątynia-religia, państwo, a może i teatr, zawsze przecież uwikłany w system).

Anarchistyczne, antysystemowe wątki pojawiały się u autorki już wcześniej, w *Totentanz*. A może jeszcze inaczej: według tradycji żydowskiej w Jom Kipur mają zostać zamknięte na sądzie w niebie trzy księgi: Żyjących (ludzi czyniących dobro), Śmierci (grzesznych) i tych, którzy wymykają się prostym, jednoznacznym osądom. Na teatralnym sądzie, na ostatniej stronie dramatu, niszczą scenografię córki zamykają więc poniekąd księgę trzecią, Księgę Libkina.

Porównania utworów literackich do innych, zwłaszcza wybitnych, dzieł oraz spekulacje ma temat ich rzekomych intertekstualnych powiązań są zwykle krzywdzące i niesłusznie stawiają autorki i autorów w pozycji naśladowców. Tutaj jednak nie sposób nie odwołać się do *Aniołów w Ameryce*. *Gejowskiej fantazji na motywach narodowych* – sztuki pióra Tony’ego Kushnera z 1991 roku. Oba dramaty są *de facto* współczesnymi moralitetami (w przypadku *Hersha* podkreśla to dodatkowo tytuł, nawiązujący również do tradycji hagiograficznej) i eksponują one tragiczne losy osób LGBTQ+. Pokazują ich uwikłanie w opresyjne, patriarchalne amerykańskie systemy społeczne i polityczne (makkartryzm lat 40. i 50. oraz homofobiczny reaganizm lat 80.), podejmują kwestię żydowskiej i gejowskiej tożsamości, miłości homoseksualnej, zdradzenia tych, których się kocha; wreszcie w podobny, moralitetowy sposób

budują postaci. Bohaterów Szatrawskiej i Kushnera można uznać wręcz za swoiste alegorie, personifikacje reprezentujące określone postawy życiowe. Moralitetowe i wspólne dla obojga są również połączenie tragizmu i komizmu, groteska, tudzież psychomachia – walka bohatera z samym sobą, z góry skazana na porażkę. Mamy też oniryczne zjawy oraz duchy: w *Aniołach w Ameryce* wywołują je przyjmowane przez Priora retrowirusowe leki, u Szatrawskiej zaś obozowe *flashbacki* i LSD. Holokaust i AIDS – dwie traumy XX wieku. Tyle że osamotniony Hersh nigdy nie zobaczy wznoszącej się do nieba Jakubowej drabiny ani wyskakującej spod posadzki świętej księgi. Zastąpi je „Übermatka”, satyryczna, stereotypowa (i świetnie zarysowana) figura jidysze mame. Ameryka Hersha Libkina to pustynia bez nieba, piekła i czyścica, bez nadziei, przebaczenia i pocieszenia, bez aniołów. Osiemnastowieczni krytycy teatralni oceniali wartość sztuk na podstawie ronionych na widowni strumieni łez. Gdy czytałem *Anioły...* w przekładzie Jacka Poniedziałka, kilka razy zaszkliły mi się oczy, u Szatrawskiej zaś miało to miejsce w scenach 21. i 22. (był z tym niejaki kłopot – akurat jechałem pociągiem).

Dramat Szatrawskiej to wywodząca się z tradycji romantycznej *Lesedrama*, sztuka przeznaczona bardziej do lektury, co nie znaczy wszak, że nienadająca się do wystawienia. 201 stron, do tego długie, będące sporym zadaniem dla aktorów narracyjne tyrady (wręcz widziałem w nich fragmenty powieści) i aż 19 *dramatis personae*. Po kilkunastu stronach *Hersha* zdałem sobie jednak sprawę, że zwalniam tempo i unaoczniam czytanie – zaczynam słyszeć głosy bohaterów, tak jakby zwracali się oni do mnie wprost ze sceny. A mówili do mnie w sposób, który aż za dobrze znałem z czasów młodości, z przedstawień Krystiana Lupy, *Rodzeństwa* lub *Kalkwerku*.

Podobno w 2023 roku *Żywot i śmierć...* chciałby pokazać na deskach kieleckiego Teatru im. Stefana Żeromskiego Łukasz Kos. Z zaciekawieniem, choć nie ukrywam, że i z niepokojem, czekam na ten spektakl – to wielkie wyzwanie dla obsady. ■

Prof. dr hab. Piotr Oczko jest pracownikiem Katedry Teorii Literatury na Wydziale Polonistyki UJ, anglistą, polonistą, niderlandystą i historykiem sztuki. Zajmuje się dziejami literatury, sztuki i kultury holenderskiej, historią osób nieheteronormatywnych oraz *gender studies*. Wydał 25 książek (w tym 10 monografi) oraz ponad 100 artykułów.

Dostrzegacz

Dzieje się w ŻIH

- Żydowski Instytut Historyczny wziął udział w 19. Festiwalu Kultury Żydowskiej Warszawa Singera. W sali znajdującej się w Błękitnym Wieżowcu odbyła się m.in. seria wykładów prowadzonych przez pracowników Instytutu.
- W dniach 18–25 września można było uczestniczyć w bezpłatnym wydarzeniu „Odkryj skarb UNESCO w sercu Warszawy” – tygodniu z wystawą stałą. Wydarzenie to składało się z oprowadzania po wystawie stałej, pokazu filmu *Kto napisze naszą historię* w kinie Muranów czy prezentacji skrzynek, w których ukryte były dokumenty należące do kolekcji Archiwum Ringelbluma.
- W dniach 21–22 września odbyła się Konferencja naukowa *80 lat po Akcji „Reinhard” (1942–1943): reakcje społeczne i upamiętnienie*.
- Aplikacja Explainit, obsługująca wystawę stałą ŻIH *Czego nie mogliśmy wykrzyknąć światu* działa już w wersji hebrajskojęzycznej. Wystarczy zeskanować kod QR przy ekspozycji, by słuchawkami własnego smartfona usłyszeć dotyczące go informacje.
- 2 października odbył się Weekend Seniora z Kulturą w Żydowskim Instytucie Historycznym. Odwiedzający mogli obejrzeć wystawy stałe *Czego nie mogliśmy wykrzyknąć światu* oraz *Małą Synagogę na Tłomackiem* oraz wystawę czasową *Tańczący 1944. Mieczysław Wejman*, a później napić się kawy w naszej księgarni.

Dzieje się na świecie

Trwają prace wykopaliskowe w Warszawie. Archeolodzy odkopują piwnice nieistniejącego już budynku

przy ulicy Miłej 18 / Muranowskiej 39. W chwili obecnej z ziemi wydobywane są niewielkie przedmioty użytku osobistego.

Odsłanianie rozpoczęło się na początku czerwca. Prace odbywają się na terenie miejskiej działki w obrębie ulic Miłej, Dubois, Niskiej i Karmelickiej, czyli w tzw. dzielnicy północnej.

1 stycznia 2023 roku warszawskie zoo przy ul. Ratuszowej 1/3 zmieni swoją oficjalną nazwę z „Miejskiego Ogrodu Zoologicznego w Warszawie” na „Miejski Ogród Zoologiczny im. Antoniny i Jana Żabińskich w Warszawie”. Patronami zostali dyrektor zoo z lat 1929–1951 i jego żona. W czasie okupacji w dyrektorskiej willi małżeństwo ukrywało osoby pochodzenia żydowskiego i żołnierzy AK. W roku 1965 odznaczono ich medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata.

Nadanie patronatu Żabińskim będzie pierwszym wydarzeniem 95. rocznicy założenia zoo. „Willa pod Zwariowaną Gwiazdą”, w piwnicach której zachowane są m.in. naścienne rysunki ukrywanych, pozostaje otwarta dla zwiedzających. Więcej informacji na stronie internetowej ogrodu.

19 sierpnia w Otwocku otwarto wystawę *A jednak życie*. Stanowiła ona fragment obchodów 80. rocznicy zagłady Żydów w tym mieście organizowanych przez Towarzystwo Przyjaciół Otwocka oraz Społeczny Komitet Pamięci Żydów Otwockich i Karczewskich. Głównym partnerem wystawy było Muzeum POLIN.

Przedwojenny Otwock ponad połowę zamieszkał przez Żydów, byli oni także częstymi pacjentami miejskich sanatoriów. 19 sierpnia 1942 roku około

9000 z nich wywieziono do obozu w Treblince i tam zamordowano. Pozostałych sukcesywnie rozstrzeliwano na miejscu, w mieście i jego okolicy – tylko w lesie, przy ul. Reymonta, zginęło około 2000 osób.

Autorem przedstawionych na wystawie portretów żydowskich mieszkańców miasta jest profesor warszawskiej ASP Wojciech Cieśniewski. Instalację można było oglądać do 16 września 2022 roku w domu parafii św. Wincentego à Paulo przy ul. Kopernika 1.



Na pl. Grzybowskiem w Warszawie (okolice synagogi Nożyków) otwarto wystawę plenerową upamiętniającą warszawskich Żydów wymordowanych w czasie wojny. Tablice informacyjne przybliżają postaci Adama Czerniakowa, Janusza Korczaka, Stefanii Wilczyńskiej, Haliny Szenicer-Rotsteinowej, rabina Icchaka Meira Kanała, Lidii Zamenhofówny, Romana Kramsztyka, Marysi Ajzensztadt, Miriam Orleskiej, Szymona Pullmana, Abrahama Ostrzega, Józefa Lewartowskiego, Hillel Cajtlin, Henryki Łazowertówny, Stefanii Szwałger, Dawida Grabera i Nachuma Grzywacza. Na osobnym słupie zamieszczono nazwiska innych mieszkańców getta opatrzone krótkimi notkami biograficznymi. Podano też podstawowe informacje dotyczące Wielkiej Akcji Likwidacyjnej i Żydów przedwojennej Warszawy. Listę nazwisk zebrała Fundacja „Pamięć Treblinki”, wystawę zorganizowało Muzeum Getta Warszawskiego, partnerem jest ŻIH.



W Kielcach odbyły się obchody upamiętniające najbardziej znany z powojennych pogromów – pogrom kielecki. W związku z sytuacją za wschodnią granicą Polski, w czasie rozpoczęcia upamiętnienia nad grobem

kieleckich ofiar nienawiści i uprzedzeń przedstawiciele kilku wyznań odprawili modlitwy w intencji ofiar oraz pokoju w Ukrainie, a także w Polsce i na świecie.

Ulicami Kielc przeszedł marsz pamięci. Jego trasa skończyła się przy kamienicy przy ul. Planty 7/9. Uczestnicy wysłuchać mogli koncertu muzyki kameralnej. Zorganizowano także pokaz filmu *Przy Planty 7/9 (Bogdan's Journey)*.

W sierpniu odbyły się też uroczystości upamiętniające likwidację getta kieleckiego.



22 lipca odbył się kolejny Marsz Pamięci w rocznicę rozpoczęcia Wielkiej Akcji Likwidacyjnej getta warszawskiego. Tym razem poświęcony został przesiedleńcom i uchodźcom z miast i miasteczek okupowanej Polski i Europy.

W lecie 1942 roku Niemcy przeprowadzili tzw. Grossaktion i wywieźli do obozu w Treblince blisko 300 000 Żydów zgromadzonych wcześniej w getcie w Warszawie. Od lipca do września z Umschlagplatzu przy ul. Stawki do obozu wyjeżdżały kolejne transporty. To tam jak zawsze rozpoczęły się uroczystości upamiętniające ofiary. Pochód przeszedł następnie symboliczną trasą „od śmierci do życia”, która kończy się na ulicy Stare Nalewki – w centrum przedwojennej żydowskiej Warszawy.

Wśród wydarzeń towarzyszących znalazł się koncert przygotowany przez Michała Pepola współpracującego z legendą polskiej sceny muzyki popularnej, Sławą Przybylską.

Do 1 września w miejscu zakończenia marszu oglądać można było instalację artystyczną Jana Strumiłły. ■

Sambousek, czyli blisko- wschodnie „pierogi”

AGNIESZKA KARGOL

Jesienne święto Sukkot jest jednym z niewielu świąt żydowskich, do którego nie są przypisane żadne konkretne potrawy czy sposób ich spożywania. Po prostu w czasie jego trwania posiłki trzeba spożywać w namiocie. W tradycji aszkenazyjskiej je się kreplech (albo: kreplach), czyli rodzaj pierogów, czy też ravioli lub uszek, które przybierają przeróżne kształty, od znanych w Polsce półksiężyców po kwadraty czy trójkąty, w zależności od lokalnej czy rodzinnej tradycji. Są zwykle nadziewane mięsem i jedzone w rosole. Inspiracją do świątecznego posiłku na Sukkot może pochodzić też z aktualnych płodów rolnych regionu, a posiłki mogą zawierać świeże owoce i warzywa lub inne składniki związane ze zbiorami. Poza tym punktem łączącym żydowskie tradycje Święta Namiotów na całym świecie są potrawy nadziewane, tak jak różne rodzaje pierogów właśnie, czy też nadziewane warzywa, jak papryki i cukinie, często jedzone na Bliskim Wschodzie.

Szukając ciekawej potrawy dla Czytelników, znalazłam idealne połączenie tradycji nadziewania, pierogów i sezonowych zbiorów. Te ostatnie dorzuciłam już z własnej inwencji, żeby było bardziej regionalnie, a jednocześnie żeby człowiek mógł sobie taką potrawę przekąsić, nie martwiąc się, czy jest mleczna, czy mięsna. Otóż są to smażone w głębokim oleju, bądź pieczone sambouseki (czyt.: sambuseki) z pikantnym nadzieniem z dyni i ziemniaka. Czyli mamy tu rodzime płody rolne z nutą egzotyki.



Składniki na ciasto (12 sztuk)

- 250 g mąki uniwersalnej (typ 480-550)
- 1 łyżeczka soli
- 1 łyżeczka skrobi kukurydzianej
- 60 ml oleju z awokado lub dowolnego oleju o neutralnym smaku
- 120 ml wody, w zależności od rodzaju mąki można dodać więcej

Składniki na nadzienie

- 1 mała cebula
- 235 g pokrojonej w kostki 2x2 cm dyni
- 280 g pokrojonych w kostki 1,5x1,5 cm ziemniaków
- sól i pieprz do smaku
- pęczek kolendry lub natki pietruszki
- 220 g fety
- 2 jajka

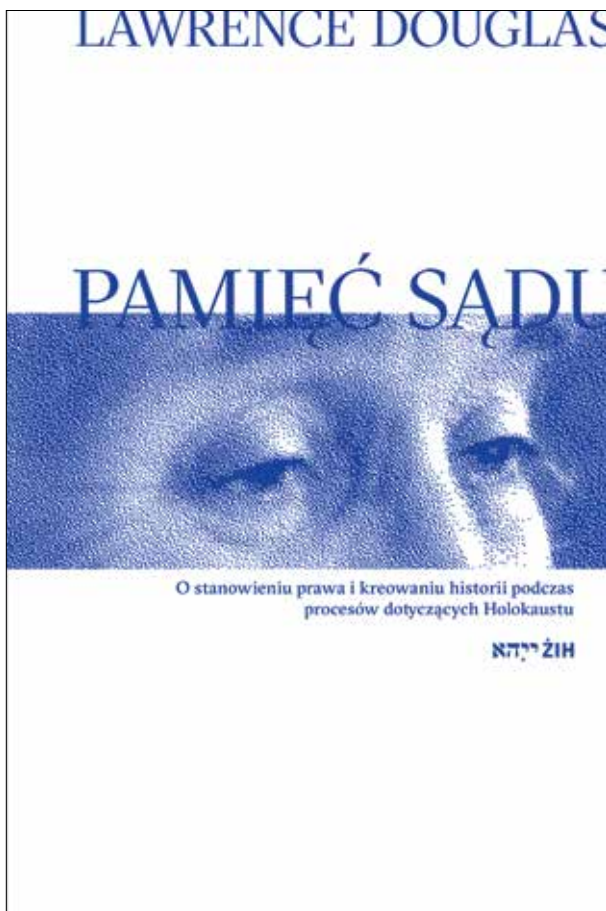
Sposób przygotowania

Zaczynamy od przygotowania nadzienia. Przygotujemy dynię i ziemniaki – gotujemy je razem na parze 7-10 minut, aż się ziemniaki zrobią „al dente”. Rozgrzewamy olej na patelni, wrzucamy cebulę, przyprawy (poza kolendrą), podsmażamy na złoto, dorzucamy melasę lub ziarna granatu. Jeśli wykorzystujemy melasę, to po 1-2 minutach wrzucamy ziemniaki i dynię, jeśli ziarna granatu, to aż puszczą sok. Smażymy wszystko

razem, aż warzywa do końca zmiękną, na końcu dorzucamy świeżą, posiekaną kolendrę lub natkę pietruszki, mieszamy jeszcze przez minutę i odstawiamy do ostygnięcia. I zabieramy się za ciasto!

Do dużej miski wsypujemy mąkę, skrobię kukurydzianą, sól, olej i wodę. Mieszamy łyżką, dodajemy wody, jeśli trzeba. Wyrabiamy na ciasto o konsystencji ciasta pierogowego, robimy kulę i dajemy mu odpocząć przez pół godziny. W tym czasie, kiedy nadzienie przestygnie, rozgniatamy je łyżką do ubijania ziemniaków, ale nie na gładką masę, dobrze, jeśli będzie czuć kawałki warzyw. Gdy ciasto odpocznie, dzielimy na 2 części, każdą zagatujemy i wałkujemy na grubość 2-3 mm. Wycinamy okrągłe placki wielkości „pierogowej”, mogą być też ciut większe. Na plackach łyżeczką umieszczamy nadzienie, składamy je na pół i zlepiamy brzegi. Można je lepić pierogową „falbanką”, zawijając brzegi albo dociskać zębami widelca, zlepiając je jeszcze mocniej.

Tak uformowane sambouseki możemy usmażyć na głębokim tłuszczu (do uzyskania złotego koloru z każdej strony), upiec w piekarniku lub frytkownicy beztłuszczowej (warto jednak posmarować je lekko olejem, żeby były chrupiące). ■



Lawrence Douglas

Pamięć sądu. O stanowieniu prawa i kreowaniu historii podczas procesów dotyczących Holokaustu

tłum. Monika Kopytowska

Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma, Warszawa 2022

Książka stanowi pierwszą szczegółową analizę odpowiedzi prawa na zbrodnię Holokaustu. Składa się z pięciu studiów poświęconych: procesom norymberskim, izraelskim procesom Adolfa Eichmanna i Iwana Demianiuka, przeprowadzonemu we Francji procesowi Klausa Barbiego, a także kanadyjskiemu – Ernsta Zündela negującego Zagładę. Lawrence Douglas – jak zaznacza w swojej recenzji prof. David Pendas z Boston College – mimo że jest prawnikiem, rozpatruje zagadnienia prawne z wrażliwością historyka. Nie interesuje go dogmatyka rozumowania prawniczego, ale sposób, w jaki prawo krzyżuje się z polityką i pamięcią kulturową.

Publikacja dofinansowana ze środków Amherst College oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.



Jidyszland - nowe przestrzenie

red. Monika Adamczyk-Garbowska, Joanna Degler, Magdalena Ruta

Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma, Polskie Towarzystwo Studiów Jidyszystycznych, Warszawa 2022

Monumentalny tom prezentujący aktualny stan badań polskiej jidyszystyki. Jego tytuł nawiązuje do wydanej w 2008 roku pod redakcją Ewy Geller i Moniki Polit publikacji *Jidyszland - polskie przestrzenie*, konstytuującej na nowo jidyszystykę w Polsce. Ukazujące się teraz prace dwudziestu ośmiu współczesnych polskich badaczy stanowią kontynuację wcześniejszych dokonań, a jednocześnie wprowadzają nowe wątki, źródła oraz metody. Książka nie tylko systematyzuje informacje o prowadzonych badaniach, ale także zaprasza do dalszych poszukiwań w tej coraz lepiej rozpoznanej, ale wciąż nie do końca odkrytej przestrzeni.

Książka ukazuje się w cyklu JIDYSZLAND przygotowanym przez Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma i Polskie Towarzystwo Studiów Jidyszystycznych.

Publikacja powstała dzięki dofinansowaniu ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.



RAMIĘ PRZY RAMIENIU?

Żydzi w polskich dążeniach
niepodległościowych 1794-1918



Żydowski Instytut Historyczny
ul. Tłomackie 3/5, Warszawa
www.jhi.pl

WYSTAWA CZASOWA
13.11.2022-26.03.2023

ORGANIZATOR



PATRONI



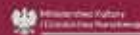
PATRONAT HONOROWY



PATRONI MEDIALNI



SPONSOROWANE



ariopolska



TŁOMACKIE 3/5

Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

Iceland 
Liechtenstein
Norway grants



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**



Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej



